

Urodziłem się w Łucku w 1916 r. Rodzice mieszkali kilkanaście kilometrów pod Łuckiem, gdzie mój ojciec miał gospodarstwo (16 ha). Był weteranem wojny 1920 r. i osadnikiem wojskowym. Ojciec i matka pochodzili z Wołynia. Mama urodziła się w Łucku. Dziadek matki pochodził z lubelskiego. Nazywał się Lipniewski. Za cara, za udział w powstaniu wysiedlili go na Wołyń.

Skończyłem podstawówkę im. Jachowicza w Łucku. Mieszkałem wtedy u ciotki w Łucku, bo w mieście nie było bursy. Związek Osadników Wojskowych miał swoją bursę w Warszawie na Młocińskiej i na Targowej 7/7, więc poszedłem do szkoły handlowej Reslerów w Warszawie, na Chłodnej 33. Po zlikwidowaniu bursy na Młocińskiej przenieśli nas na Ludwiki I. Nauka w szkole trwała 3 lata. Po skończeniu szkoły nie mogłem dostać stałej pracy więc pracowałem dorywczo w Banku Rolnym. W 1938 r. poszedłem do wojska, do podchorążówki. Skierowali mnie do 24 pp w Łucku, 4 kompania, II batalion strzelców. Moją drużyną dowodził kapral Bajorek, góral. Plutonem dowodził ppor Mazurkiewicz a kompanię por Sinicki.

Szkoły jednak nie skończyłem z uwagi na wybuch wojny. 24 pp razem z 50 pp wchodził w skład 27 DP.

W marcu 1939 r. cały pułk wywieziono do miejscowości Brzoza koło Torunia. A na nasze miejsce, w starym mp pułku w Łucku już powołano rezerwę, jak wyjeżdżaliśmy to już przychodzili nowi. Uzbrojony byłem w kbk, do którego miałem 4 ładownice amunicji po 5 szt. w każdej i 5 sztuk w karabinie. Do tego 2 granaty.

W Brzozie byliśmy do czerwca. Tu volksdeutsche ścinali nam linie telefoniczne. Wiedziałem, że będzie wojna, bo jak moi rodzice w ubiegłym roku nad morzem, to już w Gdańsku mówiono, że Polaków trzeba rżnąć. Już jak Beck pojechał do Anglii i podpisał pakt o pomocy to już wiadomo było... Oczywiście w wojsku panowało przekonanie, że damy sobie radę z Niemcami. W zasadzie cała obrona miała być skupiona na Polesiu.

Z Brzozy wraz z całą 27 DP zabrali nas do Puszczy Tucholskiej, gdzie weszliśmy w skład armii gen. Bortnowskiego. Nic tam nie robiliśmy, tylko siedzieliśmy w tych lasach. Czasami przychodził polityczny i robił nam wykłady jak to dawniej było, jak Polacy walczyli a tak to nie było. Spaliśmy pod namiotami.

Z Tucholi potem przeszliśmy piechotą 26 sierpnia na Chojnice. Nie zapomnę jak był przejazd z Chojnic na Prusy Wschodnie. Tam jeździła drezwina. 29 sierpnia dowódca batalionu Potzinger wskoczył na drezwę ze wszystkimi planami, bo tam na przejściach „zastawy” zostały porobione, i uciekł do Niemiec. Nim zdążyli te „zastawy” opuścić, to już czołgi niemieckie wjeżdżali na nasze tereny. I tam najgorsza walka to była z volksdeutscheami a nie na froncie. Z każdego domu do nas strzelali. Wszystko Niemcy tam byli. Cały czas było tylko ostrzeliwanie nas a myśmy się wycofywali. Mieliśmy te najnowsze karabiny przeciwpancerne, które dostaliśmy 31 sierpnia, gdy wyruszyliśmy na front. Wystarczyło trafić w czołg i już był gotów. Takich karabinów mieliśmy jednak niewiele - na kompanię po 4-5 sztuk. Mimo to uzbrojenie nasze było słabe i do tego mało było amunicji, bo Armia Bortnowskiego od razu została odcięta. Początkowo chcieliśmy się połączyć z Armią Poznań, ale nie udało się to, więc wycofywaliśmy się sami nad Bzurę.

I września o 5 rano od razu było straszne bombardowanie, słychać było gruchot czołgów i krzyki alarmowych:

- Zrywaj się, wojna, wojna!!! - Momentalnie zamęt się zrobił. Dowódcy krzyczeli:

- Skokami w tył, cofamy się. Broń się! - ale najgorsze to było to, że ze wszystkich stron, z każdej kolonii walili do nas volksdeutsche.

Pierwszą bitwę stoczyliśmy koło Gardei pod Grudziądzem z jakimś niemieckim oddziałem w sile jakichś dwóch kompanii. To było już jakiegoś 5 września, gdy Niemcy byli już za Wisłą. Szliśmy tyraliera, gdy dostaliśmy nagle ogień. Poszliśmy na bagnety. Roznieśliśmy ich, Niemcy poddali się, więc potem prowadziliśmy ich ze sobą. Tam szliśmy lewym brzegiem Wisły, bo most w Grudziądzu już był zerwany, a dookoła Niemcy, którzy dawno nas wyprzedzili. W ten sposób doszliśmy aż do Bzury. Maszerowaliśmy i w dzień i w nocy. Wszyscy strasznie pomęczeni byli. Prawdziwy bój zaczął się dopiero nad Bzurą. Tuśmy rozwalili Niemców, i żeby nie ściągnęli oni dywizji Guderiana, toby tak dostali w dupę, że oj. Ale gdy ściągnęli Guderiana, to rozwalili nas całkiem, bo myśmy szli na Warszawę. W międzyczasie dostałem awans na kaprała.

Gdy doszedłem pod Sochaczew to dostałem w nogę. Tu 2 października wzięli mnie i wywieźli do Ostródy, do szpitala. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie źle traktowali. Tylko prześladowali volksdeutsche:

- Ach wy cholery - mówili do nich po polsku, myślicie, że będzie do nas (strzelali) tak jak do Polaków! My wam pokażem!

Po podleczeniu pytali kto chciał na roboty. Poszedłem do majątku Krauhausen pomiędzy Morągiem a Olsztynem. Stamtąd z trzema kolegami w maju 1940 r. zwialiśmy, bo ciągnęło nas do domu. Doszliśmy do Mławy i słyszemy jak ktoś po polsku wola:

- No, heta, wio kary! - Jeden z nas poszedł do gospodarza i mówi:

- Nie mamy co jeść. Przynieś chleba, my z niewoli uciekamy - poprosił.

- Doobra, poczekajta, przyniosę chleba - odpowiedział. No to czekamy aż się ściemni, czekamy na ten chleb, a tu ściemniło się i żandarmeria otoczyła nas. Włała nam, za dupę i do Ostrowi. Pół roku kamej kompanii dostałem. Oznaczało to, że nie wolno było nam iść do żadnej roboty a za jedzenie służył garniec wody, w którym pływała jednak krupka. Stamtąd wywieźli nas za Kłajpedę, na Memenland, czyli na ziemię, którą Niemcy zabrali razem z Kłajpedą. Tam przydzielili nas na gospodarstwa. Popadłem do takiego bauera - dziesięciu nas tam było - który miał 800 morgów ziemi.

Jak wybuchła wojna z Rosją, to zabrali nas od tego gospodarza i dali na mniejsze gospodarstwo a tam dawali Ruskich. Mieliśmy

jedną izbę do spania, a z roboty wracało się wtedy, kiedy już trzeba było iść spać. Ja popadłem do takiej Hfansee, której mąż był na froncie. Miała ze 2 czy 3 ha. Było mi tam nawet dobrze, nie powiem. Jednak po jakimś czasie zabrali mnie stamtąd, i dali na to miejsce Francuza a mnie przenieśli do leżącego po sąsiedzku Schwabisee. Byłem tam razem z takim Frankiem z białostockiego, a za wodą (stawem) na gospodarstwie byli: Kalka, Ciecierski i Leśniewski. I tam też chodziliśmy wolno, wszystko, tylko na noc gospodarz zamykał nas. Już wtedy dostawaliśmy paczki z Anglii. Co tydzień 5 kg paczka, więc każdego Niemca można już było przekupić za kawę i papierosy. Mieliśmy też czekoladę, pierniki, wszystko. Dogadaliśmy się ze sobą i postanowiliśmy uciekać. Postanowiliśmy iść przez Litwę, bo niedaleko była granica litewska i potem na Tykocin. Szliśmy nocami. Jedzenia mieliśmy swojego do cholery, tak że pod drodze nie musieliśmy zachodzić do żadnego gospodarza. Zresztą tam krowy pały się dzień i noc, więc zakradaliśmy się i sami doiliśmy krowy, żeby mieć mleko. Napisałiśmy do kolegów kartki:

- Wacia doi krowy - żeby wiedzieli, że nadal idziemy.

Wreszcie (to było w czerwcu 1943 r.) przyszedliśmy do Cieciorok k. Zambrowa. Tu Leśniewski zostawił mnie u swego kuzyna na kolonii wsi Cieciorki u Pęckiego, wujka jednego z członków konspiracji (byłem u niego do momentu, aż poszedłem do oddziału), a drugi poszedł do swego kuzyna - sołtysa Konopki//. U niego poznałem „Rolę”. Okazało się, że te okolice opanowane są przez NOW i dlatego znalazłem się w tej organizacji. Sołtys Konopka zameldował Wiesławowi Przeździeckiemu - komendantowi powiatu NOW-AK (to był przedwojenny oficer), że tu są tacy i tacy i że chcą być w organizacji. Wtedy Przeździecki przyjechał do sołtysa, ściągnęli nas i tam złożyliśmy przysięgę. Przybrałem sobie pseudonim „Zyndram”, którego używałem tylko w czasie okupacji. Już w lipcu zostałem komendantem Kedywu w powiecie zambrowskim z tym że teren naszego działania nie ograniczał się tylko do tego powiatu, ale chodziliśmy aż pod Czyżew.

Oddział mój miał 6 ludzi. Byli w nim m.in.: „Rola”, „Jastrząb” Daniszewski//, „Czarny” i Wyszomirski „Biały” z Szumowa// - kolega „Jastrzębia” (teraz jest w Zielonej Górze), potem był też w oddziale „Zagłoby”, fajny chłopak, równy, „Tur”, Zbyszek - brat „Jastrzębia”. Cała ta grupa to była z Szumowa. Oj to granda była. Ten „Jastrząb” to też był taki rzezimieszek, że lepiej nie mówić. Oni sobie przypadli do gustu. Oj, jak przypadli. Lubili na baczność stawać i wyroki wykonywać. I myśmy chodzili i wszystkich tych szpicli dusili, z tym że to byli szpicle sowieccy. Jak sowieci uciekli w 1941 r. to pozostawili tych wszystkich, którzy im donosili. Dostaliśmy listę z podpisami od sołtysa wsi Konopki-Jablonie Konopki// i wykonywaliśmy wyroki na takich. Ten sołtys był takim łącznikiem z Okręgiem i ta lista to też była przysłana z Okręgu. A ja mieszkałem od niego w prostej linii będzie ze dwa kilometry u tego Pęckiego. Grupą wtedy dowodziłem ja. Takich wyroków wykonaliśmy ze dwadzieścia. Tych wyroków było tyle, że nawet nie pamiętam tego pierwszego. Oprócz działalności w Kedywie po południu szkoliliśmy ochotników, bo Przeździecki mówił, że trzeba będzie stworzyć oddział. Jak dowódca tego patrolu rozkazy Przeździeckiego dostawałem od sołtysa Konopki.

Nie było żadnego rozkazu, żeby likwidować Żydów, były tylko rozkazy, żeby tępić konfidentów NKWD. Konfidentów Gestapo było tylko trzech, jeśli sobie dobrze przypominam, a tak reszta to byli z NKWD, ci których zlikwidowaliśmy. Później, w NZW, też nie było takich rozkazów, żeby likwidować Żydów. Na odprawach też nie było o tym mowy, w ogóle o Żydach nikt nie wspominał.

W tej mojej grupie był też ten „Jastrząb” Daniszewski, tylko że on nie mieszkał wtedy w Szumowie, tylko nie daleko mnie, bo był ścigany wtedy. Było nas siedmiu. Był też „Tur”, który potem, w 1946 r., chodził w mojej obstawie. Przeważnie ja odczytywałem wyroki a oni wykonywali. Przeważnie „Czuma” wykonywał. Chętny był do wykonywania wyroków. Taki miał charakter. Do wykonywania wyroków to zgłaszali się na ochotnika, ja nie wyznaczałem ich.

- Kto z was zastrzelił? - pytałem się.

- No ja tego, tego, to ja ten, ten.

- Dobra - mówiłem.

Później zacząłem prowadzić szkolenie ochotników do oddziału leśnego razem z Kalką. On też był starym żołnierzem, był z artylerii. Przez cały ten czas, do wiosny następnego roku mój patrol zajmował się tylko wykonywaniem wyroków i szkoleniem ochotników. Uzbrojeni byliśmy tylko w pistolety TT, broni długiej nie mieliśmy.

W pole wyruszyliśmy w marcu 1944 r., chociaż oddział powstał w grudniu 1943 r. Byłem zastępcą dowódcy w oddziale NOW Wacława Kalki ps. „Zagłoba” (pochodził z poznańskiego)//. (W terenie był jeszcze jakiś inny oddział „Zagłoby”, i te dwa oddziały myślały ze sobą, a nasz dowódca poległ przecież na Czerwonym Borze). Ja zajmowałem się sprawami szkoleniowymi a „Zagłoba” przeważnie organizacyjnymi, które uzgadniał z dowództwem. Wtedy dopiero dostaliśmy długą broń: radzieckie „raki”, „diegtariowy”, karabiny, „Pepeszki”. Mieliśmy najlepsze uzbrojenie. Na Czerwonym Borze zaczęliśmy budować sobie koszary: taki duży schron. W tym czasie Przeździecki mieszkał jeszcze u siebie w domu. Wieś chyba nazywała się podobnie do jego nazwiska: Przezdziece czy coś takiego. Wszystko wokoło to wsie szlacheckie były.

Jako że to był dopiero początek wiosny to musieliśmy rozgrzewać się alkoholem. Chciał czy nie chciał, to musiał wypić, bo inaczej to wszystko byliby chorzy, ale pijaństwa to nie było. Nie pamiętam, żeby kto chorował. Kieliszek samogonu każdy wypijał rano i nie pamiętam, żeby kto miał katar. Żadne zapalenia nie zdarzały się. Sam sobie się dziwię, bo przecież nawet spało się na śniegu przykryty pałatką. W razie czego, jakiegoś bólu zębów, to mieliśmy lekarzy w Zambrowie, którzy usuwali je. Nie pamiętam jednak, żeby kto chorował.

Kwaterowaliśmy tylko na Czerwonym Borze, w lesie. A jak nas stamtąd wykurzyli, to pomaszerowaliśmy nad Narew. Tam po raz pierwszy spotkaliśmy oddział AK, ale że nie byli do nas ustosunkowani za bardzo przyjaźni więc poszliśmy na Wiznę.

Nie zdarzyło się, by ktoś zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku, albo żeby poszedł na urlop do domu i dostał się w łapy

Niemców. Był tylko jeden jedyny taki wypadek, że niemiecki szpic chciał rozpracować nasz oddział. No i szedł krzakami, gdy oddział maszerował drogą. Jak go złapali, to wtedy kilku go poznało, że to jest taki i taki typ, współpracownik niemiecki i dostał w makówę. I koniec. To było gdzieś na Czerwonym Borze.

Na linii Łomża - Ostrów Mazowiecka rozkręcaliśmy szyny, tam nie jeden pociąg dzięki nam się wykoleił. Kto tam to liczył. 4- 5 ludzi szło na taką akcję, rozkręcali szyny i nie czekając na wynik w krzaki. Później, w kwietniu rozpierdaliśmy majątki niemieckie, zabieraliśmy stamtąd żywność, którą wysyłaliśmy do Warszawy. To w 6 majątkach natłukliśmy świń. Wtedy oddział liczył już ze 60 ludzi. Byli wszyscy z mego patrolu Kedywu i m.in. „Słoi”//. Po tej akcji na majątki Niemcy zorganizowali na nas pierwszą obławę na Czerwonym Borze. Wzięły w niej udział: żandarmeria z Zambrowa, z Szumowa, Śniadowa. Pędziliśmy bydło, które szło w grupie, a my po bokach, zaszliśmy więc z boku tę tyralierę i rozgoniliśmy ich. I tak to się skończyło. Był też taki amtkomisarz, taka cholera była, wszędzie właz. Głupio z nim wyszło. To było na Czerwonym Borze. Akurat wtedy do oddziału przyszło dwóch młodych. Jak on jechał bryczką, to wyskoczyli na drogę. On konie batem zaciął i wio. Zaczęli go gonić. Złapali go i puścili do niego serię z erkaemu. Zasypali go w jakimś dole kamieniami. Bydło się pasło i krowy odnalazły go. I wtedy dopiero Niemcy ściągnęli tu na Czerwony Bór całe swoje siły, przynajmniej dwa pułki. walki nie podjęliśmy rzecz jasna tylko wycofaliśmy się na Pniewo i tam żeśmy przeczekali. Niemcy rozwalili nam ten bunkier, wszystko i poszli. Niedługo potem wróciliśmy na stare miejsce.

Na tym terenie AK nie było. Po ukończeniu konspiracyjnej podchorążówki, której dowódcą był „Lis”, dostałem stopień starszego sierżanta. Byli tam wykładowcy z Warszawy: major, pułkownik i oni przeprowadzali egzaminy.

W maju zrobiliśmy akcję na Czyżew. Tam z jednej strony był posterunek policji, żandarmeria, koszary i myśmy poszli tam i rozwalili całą mleczarnię, zabraliśmy wszystko. 5 czy 6 wozów masła i śmietany poszło do Warszawy na wyżywienie.

Był u nas taki Janek Sinicki. Jego ojciec też był Jan, a jego najstarszy syn też miał tak na imię. Tam był taki zwyczaj, że najstarszy syn zawsze dostaje imię po ojcu. Ojciec to już miał siedemdziesiąt kilka lat, chory był na dychawicę to już do konspiracji nie nadawał się, ale wnuk - Jan Sinicki - był młody i należał do organizacji//.

Dopiero jak w czerwcu 1944 r. zrobiły się aresztowania to Przeździecki zarządził akcję „Burza”. Jan został aresztowany przez Niemców w 1944 r. w łapance razem z siostrą Przeździeckiego ps. „Wiesław” (czy „Wacław”)//. Jan, ten co zginął, zostawił żonę i dwoje dzieci. Wszyscy siedzieli w więzieniu w Łomży. Myśmy postanowili, że jak będą wieźli ich pociągiem to odbijemy ich. „Zagłoba” urządził zasadzkę jakieś 6 km od stacji Czerwony Bór w kierunku Ostrowii Mazowieckiej. Oddział był podzielony na dwie grupy: pierwszą, uderzeniową, dowodził „Zagłoba”, a drugą ja. Mieliśmy wspomóc ich gdy uderzą. Tymczasem była kupa zdrajców, nie wiadomo kto. Niemcy dowiedzieli się o tym i w to miejsce podjechała pancernka i wszystkich wybiła dosłownie jak kaczki. Kalka został ranny, powiedział: nie poddam się i pałał sobie w łeb. Przeździecki ps. „Wiesław” dostał odłamkiem w głowę, tak że rozwalilo mu całą i zginął. (A później jest mowa o tym, że dowództwo oddziału po śmierci „Zagłoby” przejął Przeździecki, więc kiedy on zginął-J.K.)

Jedynym który ocalał z zagłady oddziału „Zagłoby” był „Rola”, który dał nam znać co się stało//. Później zastanawialiśmy się nad tym, czy on przypadkiem gdzie się nie schował w czasie akcji. Rzuciliśmy się więc na pomoc dowódcy. Nie przewidzieliśmy jednak jednej rzeczy. Musieliśmy przebiec tory, które niedaleko stąd zakręcały. Za zakrętem widać było robotników, którzy poprawiali tory, w rzeczywistości to jednak był niemiecki wywiad. Gdy tylko przeszliśmy tory i granatami rozwaliliśmy pancernkę (zrobił to „Sęp”, który poległ) [wymowa niewyraźna może „Szary”?]// i wycofaliśmy się stamtąd, to ludzie z oddziału WiN [!] „Dziadka” dali nam cynk, że z tej strony jest już obława//. Oni też kwaterowali na Czerwonym Borze ale w odległości od nas jakieś 200 m. Myśmy zajęli miejsce na takim wzgórzu, na którym przed nami byli Sowieci. Oni mieli jednego rannego w nogę, ale ten biedak zmarł z upływu krwi. Więc uderzyliśmy na nich i wywaliliśmy tych Sowietów. Oni się wynieśli a myśmy zajęli ich miejsce. Nie mieliśmy innego wyjścia, bo to wszystko z Zacisza tłucli po kolei.

Tylko przeszliśmy przez tory i od razu usłyszeliśmy szum motorów czołgów. Jednocześnie od stacji Czerwony Bór nadjechał cały pociąg wojska i wzięli nas w dwa ognie. Wtedy ten „Dziadek” wyskoczył na przód, wyciągnął pistolet i krzyknął:

- Za mną chłopcy! - i od razu chwycił się rękami za gardło. Dostał. Wtedy krzyknąłem do chłopaków:

- Chłopcy, wytłuką nas jak kury. Wio za mną, pepesze w górę i granatami. - Rzuciliśmy w ich kierunku granaty. Faktycznie byli tchorze. Wpadliśmy w taki gąszcz i tym gąszczem żeśmy się przebili. Za to dostałem Krzyż Walecznych. Daniszewski dostał wtedy w głowę. Część z naszych tam została, m.in. ten Janek Konopka tam zginął. Zostawił dwoje dzieci i żonę. Jak liczę to zginęło naszych jakichś 30 parę osób. Tam teraz jest pomnik i nazwiska wszystkich będą wyrzyte na pomniku.

To wszystko to narobił „Biały”//. On przedtem całą noc jeździł, powsadzał [na furmankę?] po dwóch-trzech chłopów i jeździł dookoła pomiędzy Szumowem a Czerwonym Borem i dlatego Niemcy zrobili na nas zasadzkę, bo myśleli, że nas jest wielka siła. On to spowodował, że Niemcy ściągnęli tam całą dywizję. I właśnie od jego Niemcy tam najwięcej ludzi wytłukli. Myśmy wtedy to powołali rezerwę, bo na stałe w oddziale było nas 60 ludzi, a wtedy było nas przeszło 200, to naszych zginęło tam dosłownie jakieś ze 40 ludzi, przeważnie z rezerwy. A to co pisze Żebrowski o tym, że „Kmicic” szedł nam na pomoc, to nie prawda. Nie widzieliśmy tam żadnego oddziału, który by szedł nam na pomoc.

W oddziale wygod to nie było. Pod śniegiem się spało. Człowiek fufajką się nakrył i tak spał. I dobrze. Za tę bitwę na Czerwonym Borze dostałem Krzyż Walecznych.

Po „Zagłobie” dowódcą oddziału został Przeździecki ps. „Wacław”. Byłem jego zastępcą. Jednocześnie był komendantem powiatu NOW. Komendantem naszych oddziałów był „Lis”. Znałem go. Pochodził z Lidy. Przed wojną pracował w dwójce. Czasami przychodził do nas. On to nie patyczkował się. Miał takie powiedzenie:

- Płaść, płąć, płąć - czyli: w łeb, w łeb, w łeb. - I jak były jakieś meldunki, że kogoś okradli, to zaraz mówił:
- A to trzeba było plasnąć. - A przecież tak nie można.

Pamiętam któregoś razu był taki wypadek. Na Czerwonym Borze były koszary niemieckie a zaraz po prawej stronie wioska. Tam Niemcy często wypadali sobie na pochulanki. No i donieśli nam ludzie, że będą tam dwie takie „damy” i żeby im głowy ogolić, bo razem z Niemcami bałowały. Poszło nas tam sześciu pod wskazany adres. Pod jednym nikogo nie było, a drugim była jakaś nauczycielka zza Białegostoku. No i ktoś, cholera, doniósł, bo z koszar zaraz wyruszyło wojsko, więc złapaliśmy tylko ją i od razu na furmankę i wio. Myśmy wtedy kwaterowali na bagnach nad Narwią. Stał tam jakiś oddział AK. Tam był też „Lis”. Przeprowadziliśmy tam tą dziewczynę, bo wcześniej nie było możliwości ogolić jej głowy, a „Lis” jak tylko zobaczył, to zaraz:

- Plasnąć, plasnąć, plasnąć! - No i palnął od razu w makulę. Miał taki charakter a tak płakała, mówiła:

- Ja mam małe dziecko - a ten nic tylko od razu plasnąć. Wzięłby, cholera, ogolił, dałby w dupę tak żeby była sina i kazałby uciekać, a tak... .

Rosjanie jak uciekali z tych terenów w 1941 r. to w niektórych wioskach pozostawili dzieci. No i w jednej wiosce został dzieciak, miał może 12-13 lat. to „Lis” sam zarznął go nożem, cholera:

- Bo to będzie szpicel - powiedział. Strasznie krwiożerczy był. Za byle co, to każdego... . Przecież tak nie można podchodzić. Najpierw trzeba zbadać wszystko, jak, co?

Tam też po raz pierwszy spotkałem „Miecz”. Oni mieli na Czerwonym Borze szkołę podchorążych. „Miecz” to był porządny chłop - zrównoważony, nigdy nie dopuścił, żeby tam od razu coś tego. Jego „Lis” bał się jak cholera, bo przecież „Lis” pił, a „Miecz” nigdy. „Miecz” nigdy nie widziałem pod gazem. „Lisowi” natomiast zdarzało się to często, ale łeb miał twardy, cholera.

Któregoś razu „Miecz” przysłał łącznika z pismem, w którym nas prosił, żebyśmy przygotowali się do wymarszu i przeprowadzili przez poligon na Czerwonym Borze łącznika z Gwardii Ludowej, żeby przeszedł bezpiecznie. No i mój oddział „Zagłoby” wyszedł na skraj Czerwonego Bory za Szumowem i tam przekazali go nam, przeprowadziliśmy go za tory i tam znowu go od nas inni odebrali. No tośmy się dziwili, że pomagamy GL, bo to przecież komunisty, no ale rozkaz to rozkaz.

Po rozbiciu nas wycofaliśmy się na bagna nad Narwią i gdzieś w końcu lipca z oddziałem AK (był wtedy z nami i „Lis”) rozbiliśmy posterunek żandarmerii w Wiźnie. Akcję tę zainicjowali akowcy. Chodziło chyba po prostu o zdobycie broni. Nie pamiętam już co to był za oddział. Nas było wtedy ze czterdziestu paru, a ich też niewiele więcej. My, pod dowództwem „Lisa”, który był w stopniu kapitana, atakowaliśmy od wschodniej strony, a oni od zachodu. Akcję zaczęliśmy gdzieś tak o 10 wieczorem, już ściemniało się. Niemcy nie za bardzo się bronili. To było przeprowadzone przez zaskoczenie. Jeden z akowców znał dobrze niemiecki. Ubrany był w mundur niemiecki. Poszedł na posterunek, zaszwargotał, obezwładnił strażnika i po wszystkim. Jak coś takiego się działo, to Niemcy nie chcieli walczyć. Tylko: Haende hoch, a oni zaraz: Kamerad, kamerad. Tak że ten posterunek rozbiliśmy bez walki. Tam nawet nie było słoniny. Zabraliśmy broń i poszliśmy. Nie mściliśmy się na nich, bo nie było sensu. Zresztą, w innym razie to ludność okoliczna by odpowiadała.

Np mieliśmy raz obławę na Czerwonym Borze. To dosłownie szli od nas o 10 kroków. Powiedzieliśmy do nich tylko:

- Kamerad, kamerad - i poszli. Tak, oni nie szukali guza i im zależało na życiu. Gorzej jak Ukraińce byli. O tak, to z nimi już trzeba było walczyć. Walczyliśmy z nimi na Czerwonym Borze, na Zagajniku. W Zambrowie był batalion Ukraińców. Dopóki ich stamtąd nie wykurzyliśmy to był z nimi kłopot. Koszary ich były pod miastem. Podeszliśmy więc pod te koszary i z cekaemów, które wypożyczyliśmy od AK ostrzelaliśmy ich. To było jeszcze przed „Burzą”, ale i w czasie „Burzy” najeżdżało się tu tych Ukraińców, od cholery. Często można było usłyszeć ukraińską mowę. To najpodlejszy naród, cholera. Nienawidzili Polaków. To przeważnie byli własowcy. Z Niemcami takiego zmartwienia nie było.

Po niedługim czasie przyszli Sowieci. Więc myśmy się przycupnęli na kwaterach. Takie zresztą były rozkazy do „Lisa”: zamelinować się i czekać. Nie miałem z nim kontaktu i nie wiedziałem, gdzie przebywa. Działalności nie było żadnej przez ponad 5 miesięcy, aż do ruszenia frontu. Wojska wszędzie było przecież do jasnej cholery. Najgorzej było z tym, że strasznie rabowali. Co popadło: kura nie kura, świnia nie świnia. Widziałem taki wypadek jak pędzili stado owiec. Dwóch takich Kałmuków z Uzbekistanu czy skąd barana złapali, na miejscu urnęli łeb, wyrzucili flaki, skórę w kotły, zjedli to wszystko, cholera. Aresztowań żadnych nie było. sowieci mówili:

- Tawariszezi, my was aswabodili - i wsio.

Samemu trzeba było uważać, bo byli i tacy, którzy znali nasi wskazywali NKWD. Wtedy też zakwaterowałem się u tego Siemnickiego, co to jego syn był w naszym oddziale i został złapany przez Niemców w łapance. Sołtys w tych Konopkach to też był nasz człowiek. Nawet nam dowody powyrabiał, wszystko. Nie mogliśmy się jednak do niego pchać, żeby nie rzucać na niego podejrzeń, zresztą on sam potem wycofał się, bo bał się czy czasem Sowieci nie wezmą go za to, że w czasach niemieckich był sołtysiem. Potem zresztą taka baba z tej wsi, co się ukrywałem, to powiedziała o mnie Sowiecom.

Żeby było z czego żyć, to umówiłem się z gospodarzami i uczyłem ich dzieci. Dzieciarnia schodziła się w domu Pęckiego, o czym zresztą Sowieci wiedzieli i nie reagowali. Za to gospodarze dawali mąkę, którą oddawałem gospodarzowi, bo to był stary sam, dwoje dzieciaków zostało po zabitym na Czerwonym Borze ojcu i żona, to z czego mieli żyć jak tam był hektar ziemi.

Pomimo tego, że okres zerwania łączności z organizacją trwał tak długo, to jednak wiedziałem, że jak będzie trzeba to dadzą znać, nie przejmowałem więc się tak długim milczeniem.

No i w tej wsi stał sowiecki zwiad, rozwiadka. Z tym majorem, dowódcą tego zwiadu, grałem w szachy, wszystko pięknie, ładnie. Front stanął na Wiśle, wszędzie było pełno sowieckiego wojska. Nie było żadnych aresztowań, nic się nie działo, był całkowity spokój. Jak tylko 17 stycznia rano przeszli Wisłę to momentalnie 17-go o godzinie 5 rano puk, puk w okno.

- Sdieś naszi?

- Nie paszli - odpowiedziałem.

- A no, atkrojcie. - Weszło do środka 6-ciu enkawudystów. zrobili w domu rewizję. Na strychu znaleźli polski bagnet, który schował Janek Sinicki - ten co zginął. Zacząłem im tłumaczyć:

- No szto to? Smatri, tridcat dziewiatyj god, no szto ty, toż nie majo - ale to nic nie dało. Od razu do mnie:

- A no sabirasia s nami.

Ja poszed z nimi do Zambrowa, a tam Żyd z Zambrowa, cholera, był, który mnie znał. Dużo tam ludzi ściągnęli. Tam dwa dni mnie trzymali. Specjalnych badań tam nie było tylko pytali:

- Kogo znasz?

- Ja nikogo nie znaju - odpowiadałem, ale oni wiedzieli że ja nie jestem miejscowy. Dokładny wywiad mieli.

- Należałeś? - spytał Żyd.

- Należałem - przyznałem się.

- W AK?

- Tak, w AK. W oddziale byłem.

- Dobrze, dobrze - powiedział zadowolony i na tym przesłuchanie się skończyło. No i przewieźli mnie samochodem do więzienia do Białegostoku. W samochodzie było nas może z 15-tu, ale nikogo nie znałem, bo to byli z całego terenu, ale z naszego terenu to nikogo nie było. Wzięli tylko takich głupich jak ja, co zatrzymał się na tym miejscu gdzie był. Taki np sołtys z tej mojej wsi Konopki Jabłonie. wystarczyło, że pojechał do oddalonej o 15 km wsi, i już go tam nie szukali. Zaraz zresztą poszli za frontem i znowu był spokój. Tylko wtedy, jak front ruszył, to oczyścili teren.

W Białymstoku trzymali mnie ze dwa tygodnie, ale nie było żadnego śledztwa, nic, kompletnie, najmniejszych badań. Wrunki w więzieniu to były takie, że lepiej nie mówić. Cela była duża. Było nas w niej ze 40-tu. Prycze były piętrowe, ale nie dla wszystkich starczyło. Jedni spali na pryzkach a inni na podłodze, gdzie popadło. Jedzenie to było takie, że tylko pajok chleba (jak pieść) na dzień, woda i koniec. Zapamiętałem tylko nazwisko jednego z aresztowanych - nazywał się Melasa//. To był kucharz. Jak go tam przywieźli to był potężny chłop miał ze 130 kg, to po tych dwóch tygodniach schudł do 80-ciu kilo. Służba więzienna nie czepiała się nas, zachowywali się normalnie.

Po dwóch tygodniach popędzili nas piechotą na stację. Władowali w świńskie wagony (zadrutowane) i dopiero wtedy zaczęli nam dawać po łyżeczce suchej herbaty, łyżeczce cukry, plasterek „świnnoj tuszonki” i chleb, jak go nazywali - „pajok”, taka grubsza kromka chleba, mniej więcej pół kilo. Kombinowaliśmy więc w ten sposób, że w konserwy po „swinnoj tuszonce” łapaliśmy śnieg, topiliśmy go, wrzucaliśmy do tego herbatę i tym popijaliśmy. „Uborna” tzw. to była dziura w rogu wagonu. Tam się załatwialiśmy. Było nas ze czterdziestu paru. Ciasno było jak cholera. Jak jeden siedział, to drugi stał, jak leżał to dwóch stało. Jechali z nami także własowcy. No ich to traktowali o wiele gorzej jak nas. Było ich 6-ciu. Pamiętam, że jechał z nami m.in. taki Burzyński, z PKP w Białymstoku//. Blondyn, wysoki. I on właśnie wykombinował, że będziemy uciekać, więc zaczął odrywać podłogę. Oderwał trzy dechy i mówi:

- Panowie, jak będziecie się zwieszać, to tak żeby nogi szły do tyłu, żeby głowa była z biegiem pociągu, to wtedy nic wam nie będzie, jak będzie odwrotnie, to będzie koniec. - No i wtedy ci własowcy zaczęli walić w ściany i drzwi wagonu i krzyczeli:

- Kanwoj! Kanwoj! - No i pociąg stanął. Strażnicy przyszli, własowcy pokazali dziurę, i pytają się:

- Kto eta sdiełał?

- Ten - pokazali na Burzyńskiego. Od razu go skuli, zbili sukinsyny i zabrali od nas. Co się z nim stało - nie wiem.

Jechaliśmy z jakieś trzy tygodnie. W naszym wagonie jakoś nikt nie zmarł, wszyscy dojechali.

Bez dalszych przygód dojechaliśmy do Tuły. Tu powiedzieli nam:

- Rebiata, pakupajties, budziet charaszo. - Faktycznie, zaprowadzili nas do łaźni. Wymyliśmy się. Dali nam barszcz buraczany i mięso - sam tłuszcz. Kto był głupi - najadł się tego tłustego i na drugi dzień rozwolnienie. To jak nas było 600 to jak nas zostało 50 to wszystko. Momentalnie pomarli. Nic dziwnego po tylu tygodniach głodówki.

To samo było potem jak byłem w kopalni węgla koło Stalinogorska. Przywieźli nas tam z Tuły. Ten pasiołek nazywał się jakoś Skopje nie Skopje? Coś w tym guście, tam nie można było dowiedzieć się jak to się nazywa. To myśmy tam nosili kartofle z odległego o 3 km kołchozu. Było tam tak zimno, że jak człowiek plunął, to zanim doleciało do ziemi to już zamarzło, tak więc jak przyniosło się te kartofle, to były one już zamrożone na kość. Człowiek wtedy już nie miał takiej siły, to po przeniesieniu tych 5-ciu kilo czuł się tak jakby przeniósł 50 kilo. Był tam taki Marchewka - wiejski chłop, potężny, czarny, młody//. Mówiłem mu:

- Nie jedzcie tego, cholera, ludzie, przestańcie jeść. Tylko po kawałeczku. - No, ale nie posłuchali się. Marchewka nażarł się tego i w dwa dni już go nie było.

Mieszkaaliśmy w drewnianych barakach. Były one ogrodzone drutem. Co kilkadziesiąt metrów stały wieżyczki. Tak samo jak w niemieckich łagrach. Budynki miały długości ze 100 m i podzielone były na mniejsze i większe sale. Jedne miały po 5 m

długości, inne po 10 i więcej. Obok baraków stały takie cebrzyki, do których dyżurni nalewali wodę. Tam można było umyć ręce i twarz, natomiast o żadnym kąpieniu się nie było mowy. W tym obozie było nas, tak nie skłamać, do 10 tysięcy. Jeszcze na samym początku, jak przyjechaliśmy do tej kopalni, rozmundurowali nas i dali nam stare ciuchy wojskowe i fufajki, takie waciaki. Buty miał drewniane podeszwy, więc tego zimna tak się nie odczuwało, tak że te fufajki to był mądry wynalazek. Później to ubranie wojskowe w czasie ucieczki to mnie uratowało, bo gdybym uciekał w swoim mundurze, to nigdy by nie dojechał do Polski.

Tam przychodził taki niby prokurator tzw. chosprawierka. Pojawiał się raz na miesiąc, dwa miesiące. Z każdym przeprowadzał rozmowę. Czasami mówił takiemu więźniowi:

- Ot, ty błogonadiożnyj (swój człowiek). Pajdziesz damoj. - I faktycznie, po dwóch dniach gość zniknął z obozu.

Tam siedzieli z nami i Sowietci, to siedzieli po 15 lat bez żadnego wyroku, bez żadnego sądu, nic. Pamiętam takiego jednego majora. Pełno medali miał na mundurze. To pozrywał mu je:

- Ty w czortu, twoja mat - powiedział do niego. Tam nie patrzyli na stopnie. Tam nic nie było ważne. Tam tylko NKWD rządziło.

I jak taki prokurator pojawił się i powiedział tylko takiemu, że ty błogonadiożnyj, to ten jechał do domu.

Pracowaliśmy na trzy zmiany: jeden tydzień rano, drugi po południu od godziny 16-tej i trzeciego tygodnia na noc. Ustawiali nas w czwórki i szagom na kopalnię. Kopalnia była niedaleko, jakieś mniej więcej 400 m. Praca na zmianie trwała 8 godzin. Węgiel to był taki miał, nie bryły. To była strasznie paskudna robota, bo takich kamieni to szybcitko nakładło by się do wózka, a tu to trzeba było ładować i ładować, ładować i ładować. Poza tym strasznie dużo pyłu było. Ludzie to dosyć szybko wykańczali się w tej pracy. To było takie powolne konanie.

Faktycznie kopalnie nie były głębokie. Płytkie - jakieś 25 m. Schodziło się do szybu i wychodziło na górę po drabinie.

Pobudka była o godz. 5 rano, tak żeby zdążyć do kopalni na godz. 6-tą. Do pracy szło się bez śniadania. Po raz pierwszy jedzenie dostawało się jak wracało się z kopalni. Kuchnia była w oddzielnym pomieszczeniu. Szytgar szedł najpierw z kartką po zatwierdzenie wykonania normy i jak dostał kartkę z podpisem: norma sdielana wtedy ta czwórka mogła dostać jedzenie czyli kilo chleba i woda. Zupa to były tzw. szczy czyli barszcz z zielonych pomidorów, lebiody i liści z burkaków. Tam się wszystko dawało jeść. Tam nie było rzeczy niezjadliwych. Nie wiem kto pracował w kuchni, bo myśmy nie mieli dostępu do kuchni. Jak wydawali jedzenie, to było tak jak w więzieniu. Więźniowie roznosili jedzenie. Nastawiało się menażkę, ten wlał łyżkę tego i dalej i dalej... . Wszystko odbywało się w milczeniu. Nie wolno było z nikim rozmawiać. Tak samo jak w więzieniu.

Od tego potu i miału, to ubrania były sztywne jak blacha, tak że nic ich nie trzymało się, nawet wszy.

Jak sala wyznaczona była na drugą albo trzecią zmianę to każdy spał, żeby tylko nie myśleć ani o jedzeniu ani o życiu. Człowiek osłabiony to tym bardziej spał dobrze. Nic więcej zresztą nie można było robić. Ja w mojej czwórce byłem najstarszy, więc spałem na dolnej pryczy a nade mną leżał Kopka. Pochodził gdzieś z Białostockiego// . Był rębaczem. Prycze były jednopiętrowe. Żadnych piecyków w czasie zimy nie było w tych barakach. Były tylko koce i słoma. Człowiek zarył się w słomę i tak spał.

Z baraków nie wolno było wychodzić, chyba że do „ubornej” ktoś musiał. Również przechodzenie z baraku do baraku było zabronione.

Wtedy do naszego obozu przywieźli Niemców z Prus Wschodnich. Jak oni umierali, ojej. Dali im to same żarcie jak nam w Tule. Nikt by nie uwierzył. Tak jak wszedł do baraku, to się przewrócił i się przewrócił. To żeby ich pochować to kopali potężne doły na kilkanaście metrów w głąb. To cały ten dół trupów nawrzucał i spychacz zgarniał śnieg i ziemię. W obozie byli też Rumuni, Czesi, Włosi. Wszystko z niemieckiej armii. Oni bardzo szybko się wykańczali. Klimat był straszny. Zimny. Tam w drugiej połowie sierpnia już śnieg zaczynał padać. W początkach maja ginął śnieg i zaczynał upaść jak cholera.

Przeważnie to tylko Niemców trzymali oddzielnie. Natomiast pozostali: Sowietci, Rumuni czy Czesi to siedzieli z nami. Tam nikt nic do nikogo nie miał. Każdy tylko pilnował swojej roboty. Nie było żadnych bijaty, zabójstw czy kradzieży. Z Sowietami też był spokój. Żaden sowiecki żołnierz nie odzywał się do nas. Nic. Na kopalni pracowały też kobiety - Sowietki, to niektóre po cichutku donosiły nam jedzenie. Dawały nam chleba:

- Palak? Masz, pakuszaj - mówiły. A tak, to nic nie mówiły.

Taki strażnik odprowadzał nas z baraków do kopalni i tu nas zostawiał. Człowiek wchodził do szybu i do pracy. Uciec stamtąd nie można było.

Pamiętam jak dziś, było to 2 albo 3 maja. Zamiast do kopalni wygonili nas do kopania tuneli w śniegu na głębokość 2 metrów i szerokość kilku metrów. Nie pod ziemią a na wierzchu, tyle tego śniegu było. Myśmy te tunele przekopali a za dwa dni śladu śniegu nie ma. Wszystko tymi tunelami spłynęło.

W kopalni ludzie podzieleni byli na zespoły: dwóch rębaczy, jeden ładowacz i jeden co wózki wyciągał i przyciągał. Musiał ciągnąć te wózki na odległość jakichś 3 km. Jak się nie miało wprawy to na zwrotnicach wózki często spadały, bo teren nie był równy. Taki wózek ważył ze 600 kg. Jak się wywrócił, to trzeba było iść po pomoc. Pomagał najczęściej ładowacz. W wyniku takiej wywrotki często przepadał „pajok”. Na taki zespół, którego szefem był szytgar, nałożona była norma 12 wózków. Jeżeli nie wykonało się tej normy to nie dostawaliśmy kilograma chleba. A ten kilogram to wyglądał jak pięść - glina jakaś. Do tego dodawali łyżeczkę gotowanego prosa, łyżkę oleju i takie malutkie rybki - „kilki”, to była jedna sól. To musiało wystarczyć na cały dzień. No to całe szczęście, że był zawał. Podpora pękła i nas zawałiło. Trzech zadusiło, w tym Kopka, a mnie przydusiło i zawieźli mnie do szpitala w Stalinogorsku. W nodze miałem odłamek jeszcze z 1939 r. i jak mnie przydusiło to w kość mi wlaźł. Jakimś cudem był tam student 5-go roku medycyny i on cudów dokonywał, bo tam nie było przecież żadnych anty-

biotyków, nic. Położyli mnie na balkonie, zaraz pojawiły się muchy i robaki. Jakoś jednak z tego wylazłem. Później chodziłem o kuli. Tu po raz pierwszy od aresztowania wykapałem się.

Pamiętam, że któregoś razu do szpitala przyprowadzono Niemca, zwykłego żołnierza. Eskortowało go aż dwóch „bajcow”. W głębi Rosji!

- Szto wy abafdzili, padureli? Dwoch odnowo pliennowo!? Duraki wy - zdumiałem się. Uuuch, zjeżyli się wtedy.

W tym szpitalu poznałem starszą panią, tak gdzieś koło 60-tki. To była pielęgniarka. Zobaczyłem u niej krzyżyk i zapytałem:

- Wy wieruszczij?

- Da. - I ona przynosiła mi sok pomidorowy. Mnie ten sok postawił na nogi. Poczujęm się na siłach. Pomyślałem sobie: tu nie ma co siedzieć, bo tu się zginie. Przecież ja mam okazję uciec stamtąd. Wajennyj u nich to charaszo, furażerka wojskowa na głowie, fufajka. Przyszedł wrzesień - taka ładna pogoda, i ja z tą kulą tup, tup poszedłem w kierunku bramy i normalnie wyszedłem. Nikt mnie nawet nie zapytał gdzie idę. Poszedłem na stację, wsiałem w pociąg i wyjechałem, bez biletu, bez niczego. Kondutkor zajrzał tylko do przedziału, spojrzął na mnie:

- Aaa, wojennyj - powiedział i poszedł dalej. Jak tylko zdarzyła się jakaś kontrola, to pytali:

- Atkuda ty?

- Wajennyj.

- A gdzie jedziesz?

- Damoj jedu. Ot, nie widzisz? - odpowiadałem, rosyjski przecież znałem i pokazywałem bandaż na nodze. I to wystarczało.

Jechałem przeszło tydzień, bo tam tory wszystkie były poniszczone. Przecież jak jechało się na południe Rosji, to najpierw trzeba było jechać na północ i dopiero stamtąd na południe, naokoło, bo wszystko było zerwane.

Bez przeszkód przyjechałem do Białegostoku i zaraz tam miałem znajomych. Stamtąd do Zawad Kościelnych pow. Łomża. Tam znałem wójta Kotowskiego. Jego syn Adam był komendantem powiatu Ostrów Mazowiecka (wg „Zyndrama” Kotowski był też komendantem NOW powiatu Zambrów)//. Poprzedni komendant tego powiatu zginął. Z Zawad udałem się do Targoń Wielkich. Jak dowiedziałem się gdzieś w okolicy był „Lis” Lewicki//. Jak dowiedział się, że jestem tu to momentalnie przyjechał. Spotkaliśmy się.

- Ooo, kochany, jak to dobrze, że jesteś. To ty tu odpocznij - powiedział do mnie - a później bracie, to ty musisz z powrotem.

- No i pojechałem z powrotem, pod Zambrów, do wsi Jabłonie Konopki. Zatrzymałem się u Sinickiego. Byłem u niego do stycznia 1946 r. Jeden z jego synów był potem dozorcą w więzieniu, klucznikiem. Pomagałem w gospodarce, wykonywałem najgorszą robotę. Funkcję komendanta powiatu Wysokie Mazowieckie objąłem z dniem 1 stycznia 1946 r. Poprzedniego dnia, w Sylwestra, rano przyjechałem do Targoń i zaszedłem do Edka Płońskiego//. To była taka pijaczynka wesola. Mały chłop, ale lubił pociągnąć. Edzio, kochany Edzio. Zaraz ręce zacierał, gdzie by tu co skombinować do picia. Zawsze miał swój bimber. On podlegał „Lisowi”, bo ten miał u niego kwaterę. „Pilnik” nie był więc moim gospodarzem, tylko w Okręgu.

U niego zebrał się sztab Okręgu, żeby - jak to w Sylwestra - zabawić się. Przyjechał „Lis” i mówi:

- Gościu, zabieramy się, idziemy. Już dosyć [wylegiwania się]. - Na kwaterze byli: „Lis”, „Iskra” i „Dunajewski” i we trzech przekazali mi powiat. Od tej chwili używałem tylko pseudonimu „Luneta”. Żadnych dokumentów pseudonimem „Zyndram” nie podpisywałem.

U tego Płońskiego był Sylwester. Był cały sztab, m.in. „Dunajewski” i „Dunin”. Ten drugi to był straszny zawadiaka. Podpił sobie i pokłócił się z „Dunajewskim”, bo ten źle się wyraził, o sympatii „Dunina”, że niby jest lekkich obyczajów. Potem „Dunin” ożenił się z tą dziewczyną. Tak to zresztą wyglądało, bo Gąsowski pochodził z poważnej, bardzo zamożnej, rodziny. Szanowani byli dookoła. „Dunin” to w ogóle miał być księdzem, ale nie wytrzymał w tym stanie. Wiem, że chodził do któregoś seminarium duchownego, nie wiem tylko w którym roku, czy to ten wybuch wojny mu przeszkodził, czy co? I nie wiem czy to jest prawdą, ale jak siedziałem to słyszałem, że prawdopodobnie był podstrzelony przez UB. I mówili mi w więzieniu w Białymstoku, że on woził ubowców po członkach organizacji. Czy to prawda to nie wiem.

No i tak się pokłócił z „Dunajewskim”, że na drugi dzień miał być pojedynek. A „Lis” jak to usłyszał, to powiedział:

- Słuchajcie, jak ja wam mordy strzaskam, to wam się odechce wszystkiego.

W domu u Targońskiego był „Tur” z grupą. Stanowili moją ochronę. Raptem usłyszeliśmy straszną strzelaninę. Wyskoczyłem na dwór i zobaczyłem, że to moja grupa tak się bawi. Podziurawili cały sufit w domu Targońskiego.

- Panowie - powiedziałem do nich - żeby to było po raz ostatni. Żyjemy po koleżeńsku, ale co nie to nie. Żeby więcej to się nie powtórzyło, bo źle to się skończy. - Ja to nie lubiłem wódki, ale i mój organizm jej nie znosił.

Tak że ja w zasadzie to zostałem zmuszony do podjęcia walki. No, ale jak ja mogłem nie uznać rozkazu mego dowódcy? Oczywiście, można było wyjechać stąd na Ziemię Odzyskaną, ale żeby wyjechać, to trzeba mieć za co, a ja nie miałem nic. Nawet ubranie dostałem dopiero od „Lisa”, bo byłem tylko w „kufajce”. No, oczywiście miałem przekonanie do „Lisa”, bo znałem go z czasów okupacji. Wiedziałem, że to jest POLAK, że nie robi nic dla własnego interesu. Poza tym był w podobnym położeniu jak ja: został wysiedlony z rodzinnych stron, wszystko zostało mu zabrane. Wiedziałem, że walczy o wolność nie swoją a państwa, o wolność swoich stron rodzinnych tak samo jak „Miecz”. Byli tacy ludzie, którzy nie byli materialści. To na prawdę byli patrioci. O tych ludziach nigdy nic złego nie można było powiedzieć. No i uważałem że ta walka ma sens.

„Lis” mi powiedział, że przede mną był komendantem powiatu „Kmicic” Babiński//. Znałem „Kmicica” jeszcze z czasów okupacji, bo często spotykaliśmy się. Dziwiłem się więc wtedy przy nich, że zastrzelono „Kmicica”. Sprzątnął go „Czuma” chyba w grudniu 1945 r. a przecież jakie on wielkie zasługi poniósł dla organizacji w czasie okupacji i nie można tak za byle co skreślić człowieka. Jak mi powiedział „Lis” to zastrzelili go także i dlatego, że jak ja przyjdę, to żeby on nic do mnie miał.

- Oczyszciliśmy Panu przedpole, żeby coś nie wynikło - powiedział komendant. Zabójstwo „Kmicica” wyglądało w ten sposób, że „Czuma” stał za drzwiami niby na warcie a w środku wszyscy siedzieli za stołem. niby takie przyjęcie małe, odprawa. No i niby strażnikowi w nogi zimno było, więc zawołali go do środka, żeby wypił sobie jednego. „Czuma” wszedł do środka, dali mu kieliszek. Wziął go w jedną rękę, ale „Kmicic” coś przeczuwał, bo chociaż siedział przy stole ale jednak na kolanach trzymał automat z odciągniętym zamkiem. „Czuma” jednak z tyłu z „Parabellum” strzelił mu w głowę. W pokoju tym obecni wtedy byli: „Dunajewski”, „Iskra”, „Ciemny” i „Czuma”. Więcej z Komendy nikogo nie było.

„Lis” powiedział, że „Kmicic” miał kochankę w Zajkach, to jest wioska za Narwią. Wiem to na pewno. bo jak któregoś razu przepływałem z nim przez Narew i „Kmicic” wtedy powiedział do mnie:

- No to chodź, zajdziemy do mojej sympatii, zjemy, wypijemy.

Niedaleko mieszkała Urszula Pogorzelska, sympatia „Lisa”. No i że niby on tam chodził do tych Zajk, do tej dziewczyny, rabował i tam znosił. No, nie wiem, nieraz przecież ludzie robią z igły widły. No temu, to ja bardzo się dziwiłem.

Na zastępcę „Lis” dał mi „Dunina” Gąsowskiego Adolfa//. Wcześniej „Dunin” był łącznikiem na zagranicę. Jeździł do Warszawy i przywoził przedstawicieli z zagranicy. Na szefa wywiadu „Lis” dał mi „Tytana”, ale on nie był żadnym szefem wywiadu. Miał tylko tytuł szefa wywiadu, ale wogóle tym się nie zajmował. W ogóle nie spełniał tej roli. Był on również szefem propagandy w powiecie, ale tak na prawdę to według mnie można mu było dać najwyżej sprawy gospodarcze, a tak to był dla bezwartościowy człowiek. Za krótko jednak byłem na tym terenie, by coś zmienić w sztabie powiatu. Gdybym był dłużej, to na pewno zmieniałbym wiele. Nie wiem, czy nawet gminę bym mu dał. Również „Dunin” nie bardzo mi odpowiadał, bo popijał, a ja nie lubiłem tych rzeczy.

Niestety, gdy objąłem funkcję komendanta powiatu nikt nie przekazał mi kasy powiatu, więc zaczynałem bez pieniędzy (na drugiej kasie, str. B, nr licznika: 600-610 powiedział, że w NZW był od 15 listopada - do czego „Zyndram” przyznał się w sądzie - i do chwili objęcia powiatu chodził z grupą - Daniszewski, „Tur”, „Czuma” i in. na terenie pow. Zambrów. Mieliśmy kilka likwidacji w Szumowie, w Zambrowie, w Cieciorkach i w takiej miejscowości k. Cieciorok. Tam był dwór, gdzie za okupacji niemieckiej była kwatery generałów niemieckich. Nazywała się ta miejscowość Podgórze nie Podgórze. - Mało prawdopodobne - J.K.).

W Targoniach poznałem Urszulę Pogorzelską, o której mówią, że to przez nią wpadł „Lis”. Blondynka, dość przystojna, wzrostu mniej więcej tego co ja. Wszyscy mówili o niej, że to kochanka „Lis”. To nie prawda, że ona razem z nim mieszkała, bo w ogóle nie było jej w Targoniach. Mieszkała w Zajkach, a w zasadzie w lesie pomiędzy Zajkami a Targoniami w samotnie stojącym domu Zajkowskiego. Poszedł do niej i ktoś musiał donieść, bo otoczyli dom i „Lis” miał się schować w kominie. Potem słyszałem, że strasznie kłął w więzieniu. To opowiadał mi „Miecz”, bo też siedział na Mokotowie i słyszał. Coś strasznego jak przeklinał. Dziwię się tylko jednemu, że „Lis” miał broń i nie palnął sobie w łeb. Nie wierzę w takie zaskoczenie, żeby nie miał czasu tego zrobić. Widziałem też ojca Urszuli. Miał sześćdziesiąt kilka lat, pociągła twarz, ciemny blondyn, na bok się czesał. Byłem u nich w mieszkaniu nawet z „Lisem”. Byłem pewien, że to jej ojciec. Niewiele więcej mogę o niej powiedzieć, bo za słabo ją znałem. To co wiem o niej, to wiem od „Pilnika”, bo żyłem z nim bardzo dobrze i często rozmawialiśmy.

- Nie dobrze, że on („Lis”) tam chodzi - powiedział do mnie któregoś razu „Pilnik”.

- Jego sprawa - odpowiedziałem - Przecież wie co robi.

Oczywiście, bywając w sztabie Okręgu stałe widziałem „Ciemnego” czy „Cygana”. Oni byli łącznikami pomiędzy mną i „Lisem”. Bardzo się dziwię, że „Cygana” poszedł na współpracę. Nie przypominam sobie, żeby żandarmeria okręgowa miała jakieś specjalne oznaczenia. U nas nie widziałem też, by ktoś nosił czarne pagony. No, może „Tur” miał czarny beret i trupio czache, ale to była chyba jakaś szwabska zabrana, jeszcze z SS. Jak to zobaczyłem, to mu powiedziałem:

- Jak ja cie jeszcze raz zobacze z tako trupio czacho, to ja ci zrobię trupio czache, zobczysz. - I, oczywiście, schował to. On sie lubił wygłupiać. To był kawał chłopca.

Jak gdzieś zebraliśmy się, najczęściej w Targoniach czy Zawadach albo Wnorach (bo to były pewne miejsce, tam nie trzeba było obawiać się, że sąsiad zakapuje), to pośpiewaliśmy sobie. Tam można było sobie spokojnie odetchnąć świeżym powietrzem. W Targoniach, tam gdzie stał sztab, to ja - prawdę mówiąc - bałem się zatrzymywać, bo tam był straszny ruch, łącznicy ciągle przychodzili i odchodzili. Popijali sobie, a ja takich rzeczy to nie lubię. Poza tym ja tam nikogo nie znałem, bo przyszedłem dopiero w styczniu. Z całego tego towarzystwa znałem tylko „Lis” i Żwańskiego. „Dunajewskiego” to dopiero tam poznałem. Że tam nikt nie wpadł, to ja pojęcia nie mam.

Nie przypominam sobie, żeby w tym czasie jak byłem komendantem powiatu, żeby UB robiło na moim terenie jakieś obławy. Jedyne polowali na tego Adama Kotowskiego, co to mieszkał w Zawadach.

Nie wiem kto to zrobił tą akcją, po której pojawiły się w sztabie szwedzkie śledzie, pamiętam tylko, że „Lis” częstował nimi i rozdawał je. Dobre były. Grube były jak ręka.

A przecież Grygorcewicz miał wyższe stanowisko jak „Lis” a jednak zamienili mu karę śmierci na dożywocie a na „Lisie” wykonali wyrok. „Lis” nie dostałby tej kary śmierci, tylko że mu przysłużył się „Iskra”, bo to on rozrabiał. To był straszny pijak, cholera co on nawyrabiał. Nigdy nie chciałbym być dowódcą u Żwańskiego. Przecież był taki wypadek. Jestem w Targoniach. No i z wioski, która jest jakieś 4 kilometry od Targoń, po drugiej stronie szosy, przychodzi dziewczynka do Pilnika.

Ona należała do organizacji. Dowiedziała się, że jestem i z żalem do mnie, że jej wujek troszkę niespełna rozumu mówi, że ubekom wyda, że tu przychodzą oddziały.

- Dobrze, ja tam będę, to zobaczymy - odpowiedziałem. No i trzeba trafu, że jedzie „Lis” z całą obstawą i ja jadę. Przypomniało mi się, że mam w tej wsi sprawę do załatwienia:

- Niech pan jedzie, ja tu muszę zajść do jednego domu - powiedziałem do niego.

- To ja zajdę do sołtysa - odpowiedział. Poszedłem do tej wsi, zaszedłem do domu. Jest ten gość. Wchodzę do środka i pytam się go:

- Co ty opowiadasz?

- A panie, pan wie co tu się robi? Ta, cholera, tu się włóczą, to, tamto. - No, tu chodziło o dobre imię organizacji. Raz, drugi go w gębę i powiedziałem:

- Pamiętaj, jak coś powiesz, to będzie źle z tobą - powiedziałem i idę, a on leci za mną. Dochodzimy do tego miejsca, gdzie siedzi Żwański (wypity) a ten gość nadal chodzi i wygraża.

- Co się stało? - spytał Żwański. - Taka i taka sprawa - powiedziałem co i jak. No to ten wyjął pistolet i zastrzelił człowieka. Po pijanemu, to po pijanemu, ale trzeba mieć trochę rozumu.

Ten Żwański miał córkę Hanię, która była u kogoś na wsi//. To też groził, że tam wpadnie i wybiję wszystkich. On był już całkiem zdegenerowany. Niestety, utrzymał się tak długo, bo w organizacji nikogo nie było na jego miejsce, nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Od pierwszego stycznia zamieszkałem w Targoniach Wielkich, pow. Łomża (a nie Wysokie Mazowieckie) u Targońskiego Jana//. U niego zostały potem wszystkie moje dokumenty. W tej wsi to byli porządne ludzie, naprawdę porządne.

No i w połowie stycznia „Lis” zarządził odprawę. Zwołał wszystkich 6-u dowódców kompanii z pow. Wysoko Maz. Przedstawił mi im. W pierwszej kolejności były omawiane sprawy stosunków z AK, bo w tym terenie był wielkie zatargi między AK i NZW. „Lis” parł do tego, żeby to powstrzymać. Uważał, że należy spotykać się z komendantami AK i przeprowadzać z nimi rozmowy, bo jest bezcelowym niszczenie jednych i drugich, w ten sposób tylko pomagamy dla UB. Podlegały mi tereny powiatu wysokomazowieckiego, ale i część białostockiego (np. Osowiec) i część łomżyńskiego (np. Targonie). On to nawet zaprosił mnie na swoje wesele gdzieś w marcu 1946 r. (to chyba „Dunin”).

No i któregoś razu był taki wypadek (jeśli chodzi o stosunki z AK). Jestem ze swoją grupką w wiosce Wnory i raptem wpada do nas chłop i woła:

- Panowie, rabują.

- Co się stało?

- Dwoch wojskowych zabierają konia (ostatni wyraz niewyraźny). Chłopaki wyskoczyli, złapali i przyprowadzili. Jeden to był taki wysoki, potężny chłopisko. Chyba ze 2 metry wzrostu miał. No i w gębę jednego, drugiego. Złapałem za pistolet i mówię:

- Mów, co.... - Okazało się, że oni byli z AK i przyjechali zrobić zajęcia na rzecz jakiegoś oddziału. I to z sąsiedniej wioski, synowie bogatych gospodarzy. A w sąsiedniej wiosce, obok Wnor, dwóch naszych członków akowcy zabili. Nawet nie znałem ich, tyle że podlegali mi. Podobno dokonali jakiegoś rabunku czy coś. No to wtedy „Tur” ich mocno poturbował, bo z niego to był kawał chłopca.

Wykorzystując sytuację od razu napisałem list do dowódcy AK, komendanta powiatu, że proszę oto daję wam przykład i opisałem wszystko. Dopilnujcie właśnie w związku z tym... No i we Wnorach miałem wtedy spotkanie z ich dowódcą. On miał pseudonim „Komar” nie „Komar”? Spotkanie wyznaczył mi w domu sołtysa we Wnorach, bo to był ich człowiek. Część Wnor był w NZW, a część w WiN-ie, ale żyli w dobrych stosunkach pomiędzy sobą. To nie wszędzie było tak źle. To właśnie te Wnory Niemcy spalili, tak że tam naród był żyty.

Z tym komendantem AK rozmawiało mi się bardzo przyzwoicie. „Komar” przyznał mi rację, tylko jednej rzeczy żałował, żeśmy tych dwóch, złapanych przez nas na rabunku akowców, nie powiesili dla przykładu.

- Proszę pana - powiedziałem do niego - to byli pańscy podwładni i pan powinien w stosunku do nich wyciągnąć konsekwencje a nie ja. - Uważałem, że gdybym powiesił ich, to bym nie udowodnił tego, że oni popełnili przestępstwo i doszło by do tego, że NZW w dalszym ciągu prowadzi wojnę z WiN-em.

No i wtedy napisałem pismo do wszystkich komendantów WiN-u z prośbą o spotkanie, ale nie zdążyłem. Chodziło mi również o to, że ich oddziały nie operują na moim terenie. To mogło mi pomóc w zwalczaniu band przestępczych. Za krótko jednak tam byłem, żeby coś w tym kierunku zrobić. To był jeden jedyny wypadek, gdy złapaliśmy tych dwóch, a tak to więcej bandytów nie złapaliśmy.

Oczywiście na spotkaniu tym byłem ze swoją obstawą. Stale miałem przy sobie taką przyboczną gwardię złożoną z 6 ludzi. Dowodził nimi „Tur”. Pochodził z Warszawy//. Stale ze mną chodzili. W grupie tej byli m.in.: „Żbik”, „Gryf”, „Kania” i chyba „Niedźwiedź”//. Uzbrojeni byli w „pepeszki” i „tetetki”. Erkaemów nie mieli, bo to było za ciężkie. Z „pepeszki” „ciągnęło” się dobrze, 75 sztuk [amunicji] szło jak złoto na odległość 50 m. Zresztą w tak małej grupie jak nasza erkaem nic nie dawał, tyle że trzeba było go nosić. Najlepsze to były te niemieckie LMG, oj to były dobre, cholera, cudowne, niezawodne maszynki, ale do nich trzeba było dwóch ludzi: jeden amunicyjny a drugi niósł erkaem.

Zawsze razem z grupą „Tura” spałem, nigdy oddzielnie, nawet święta spędzałem z nimi. Wszystko było zawsze razem. Spaliśmy zwykle u gospodarza w domu, z tym że były wyznaczone dyżury nocne czyli warty, które przed domem trzymali członkowie

grupy. Oczywiście, w razie pojawienia się wojska mieli powiadomić nas i wtedy wycofywalibyśmy się skrycie. Było nas przecież tylko kilku. Nigdy jednak nie musieliśmy uciekać z jakiegoś miejsca.

Jeden jedyny raz zdarzyło się, że nie było ich ze mną. Szedłem wtedy z Targon w kierunku Zawad Kościelnych. Była wtedy straszna zamieć. Tam szosa przebiegała z Białegostoku przez Zawady. I dosłownie z 20 m usłyszałem przejeżdżającą szosą wojsko. Położyłem się więc w śniegu i czekałem aż przejadą.

„Gryfa” bliżej nie znałem. Szczupły, niewysoki, czarny. Taki spokojny i cichy. To on sam wpadł na posterunek w Kobylinie. Znał tam jednego milicjanta. Normalnie szedł z nim i rozmawiał. Był w takiej krótkiej skórzanej kurtce. Wszedł na posterunek, wyciągnął pistolet i dawaj. Zabrał wszystkie karabiny i kazał towarzystwu wychodzić:

- Biegiem - krzyknął. Puścił jeszcze serie w górę. Zabrał to wszystko i przyniósł. Nieprawda, że był tam z ogniem. Był sam. Z „Gryfem” współpraca bardzo dobrze mi się układała. To był bardzo spokojny chłop. Żadnych wyskoków, nic, taki niepokaźny. Oczywiście za to rozbijanie przez niego posterunków, to nikt nie miał do niego pretensji, tylko z tym że on tam nikogo nie uszkodził.

Wyroki na moim terenie wykonywała przeważnie żandarmeria okręgowa.

W sztabie moim był też taki „Tytan”//. To prawdopodobnie wtedy chcieli go rozwalić, bo podobno przywłaszczył gdzieś sobie sztukę materiału i konia, gdzieś na wsi. Zachodzę ja do sołtysa Targońskiego w Targoniach i patrzę: „Tytan” siedzi przy stole i ręce ma założone za głowę a obok stoi „Czuma” z pistoletem wymierzonym w niego//.

- Co jest z tobo? - pytam się.

- Ano, kazano mi tak... .

- Siedzą w tamtym pokoju panie komendantce - wskazał mi głową „Czuma” - Tam się Pan dowie? - W pokoju byli: „Lis”, „Dunajewski” i „Dunin”.

- No co jest panowie? Słuchaj - mówię do „Lis”, bo myśm na ty byli - co teraz będzie?

- Ukradł sztukę materiału i konia gospodarzowi, zaraz powiedz, że rabunek - odpowiedział „Lis”.

- No nie można tak, żeby od razu rozwalić - powiedziałem - Owszem, trzeba to wszystko wyjaśnić ale dlaczego wy oficera traktujecie w ten sposób, żeby stał nad nim żołnierz a on trzymał ręce w górze? Przecież chodzą ludzie do cholery. Zrewidujecie go czy nie ma broni i wsadźcie do nas i porozmawiajmy z nim a nie tak. Jakżeż tak można postępować? No to wtedy „Lis” „Czumę” wygonił, wezwał „Tytana” i pytamy się jak jest? No i „Tytan” przyznał się, że faktycznie:

- Postąpiłem źle, ale daję słowo, że to wszystko wróce. - I to wszystko miało być wrócone przez „Czumę”. Po jakimś czasie „Czuma” stwierdził, że „Tytan” oddał tego konia, odwiózł materiał, przeprosił i „Lis” mu darował z zastrzeżeniem, że jeżeli się to powtórzy, to będzie wyrok. Po tym incydencie „Tytan” nadal pełnił swe funkcje w moim sztabie, odpowiadał za propagandę aż do mojego odejścia. Wywiad przejął Kotowski ps. „Kłos”// (na ostatniej kasecie nr 6, licznik 497 zaprzeczył by „Kłos” pełnił w jego sztabie jakąkolwiek funkcję). Przed moim przyjściem „Kłos” był oficerem szkoleniowym w oddziale „Kmicica”. Potem został „Kłos” został mianowany komendantem powiatu Ostrów Mazowiecka. Byłem przy tym jak „Lis” wręczył mu nominację na tego komendanta. Zupełnie nie rozumiem dlaczego Kotowski otrzymał karę śmierci i dlaczego wyrok wykonali, przecież on miał bardzo spokojny charakter. Nie dziwiłbym się, że skazaliby na karę śmierci tego co przed nim był komendantem powiatu, bo jego UB to się bało. Jak kiedyś UB aresztowało jakiegoś człowieka i nie chcieli go wypuścić, to wpadł, sześciu czy siedmiu pościnał lby i na rynku w Ostrowii poukładał. To w tym wypadku bym się nie dziwił, że zapadł wyrok śmierci (chyba w Warszawie go aresztowali, zdaje się podstępem go wzięli), ale żeby Kotowskiego skazać na śmierć?

A u mnie wtedy była taka sekretarka - żona majora UB w wysokomazowieckim, ale nie żyli ze sobą. Byli rozwiedzeni. Zatrudniłem ją z pełną świadomością, że jej mąż jest w UB. złożyła przede mną przysięgę tak jak wszyscy. Jej pseudonim był „Jadwiga”//. Przepisywała na maszynie moje pisma. Zapoznałem ją u takiego „Maćka” Werpachowskiego z Krajewa Białego, bo to była jego kuzynka//. Poręczył za nią. Powiedział:

- Niech pan weźmie, będzie pan z niej zadowolony. Ładnie pisze na maszynie - No i ona zgodziła się zostać moją sekretarką. Zamieszkała w wiosce... za Wronami jest jedna wioska w kierunku pow. zambrowskiego, już nie pamiętam jej nazwy. Jeździł do niej „Tytan”, bo zawoził ode mnie do przepisania na maszynie wszystkie moje rozkazy do dowódców kompanii, która ona potem rozsyłała na kompanie i jak słyszałem, to nawiązał się między nimi romans. Ostrzegłem go więc, żeby przerwał ten romans. Aresztowali ją jeszcze przede mną w 1946 r. i do tego stopnia [bili?], że nawet wskazała, że mnie zna, ale poza tym nikogo nie wydała. Dostała 5 lat, była amnestia i wyszła na wolność.

Nie pamiętam nazwisk dowódców kompanii, bo miałem ich wszystkich sześć. Miało być szesnaście, ale nie zdążyłem tyle zorganizować, bo wyjechałem szukać swej rodziny. Pamiętam m.in.: d-cę VI kompanii - „Wacka” (jego kompania nr 6 miejscowość gminna była przy samej szosie Białystok - Zambrów, nazywała się Ożary nie Ożary), „Norwida” - d-cę V kompanii, „Burzę” Jamiołkowskiego, który kulał trochę. Z „Jawem”, dowódca batalionu. kontakt miałem tylko przez łączników//. W III kompanii dowódcą jednego z plutonów był „Wybicki” - przystojny, wysoki brunet//. W powiecie były dwa bataliony, ale nie pamiętam dowódcy drugiego batalionu. Obejmował on tereny północne powiatu wysokomazowieckiego.

W końcu (w połowie) stycznia pojawił się u mnie „Stalowy”//. To był równy chłop. Barczysty, nie był duży. Miał jakieś 1,70 - 1,80 m wzrostu. Chodził w takim długim kawaleryjskim płaszczu koloru lotniczego. To na pewno nie było w grudniu a w styczniu. Spotkaliśmy się w wiosce pomiędzy Zawadami Kościelnymi a Targoniami. Tam mnie został przedstawiony. „Lis” mnie wezwał i mówi:

- Słuchaj, to jest wachmistrz z oddziału „Burego”. W związku z tym, że trudno jest tu się utrzymać - miał wtedy pod swoje

komendo z 50-ciu chłopca - to masz go pod swoja komendo. Pamiętaj, trzymaj ściśle. - „Stalowy” jeszcze wtedy chciał się pochwalić i rzucił raketę. Rakiet spadła na stodołę i mało co ogień się nie zapalił. Na szczęście jednak ugasili. Powiedziałem wtedy do niego:

- Kolego, jesteście z oddziału „Burego” ale u mnie skakać nie będziecie. Jak wam się tu nie podoba, to wódt do „Burego”, albo będzie tak jak ja będę chciał, albo do widzenia.

- Panie komendancie, będzie wszystko w porządku - zapewnił skwapliwie „Stalowy”. - I faktycznie. Zgrzeszyłbym, gdybym powiedział na niego złe słowo. Nic nie wiem o całej tej historii ze „Stalowym”, o jakichś zarzutach wobec niego, które pojawiły się w grudniu 1945 r., gdyż ja funkcję komendanta powiatu objąłem dopiero od stycznia 1946 r., gdy pojawiłem się w Targoniach Wielkich. U mnie nie było wypadku, żeby oni gdzieś wpadli do kogoś i brali jedzenie bez pieniędzy. Raz nawet sprawdziłem to. Któregoś razu naszedłem ich jak spali w Koluszkach Kościelnych. Z nienacka tam wpadliśmy. Cholera, tak byli pewni siebie, że nawet nie postawili wartownika. Wziąłem softysa i pytam się:

- Jacy oni są?

- Panie, brali jedzenie ale za wszystko zapłacili? - Tak, że na „Stalowego” złego słowa nie mogę powiedzieć, a wiem np. że „Dunajewski” wziął część pieniędzy z kasy okręgu, to wiem dokładnie. Ładną sumę zabrał z pociągu w Czerwonym Borze, wtedy jak „Stalowy” zatrzymał ten pociąg. Całą wypłatę, którą wieźli dla ludzi, to zabrał „Dunajewski”. Byłem przy tym jak „Stalowy” był zaraz potem u „Lisy” w Targoniach. Akurat przyjechałem do Targoń i poszedłem do „Lisy”, u którego zastałem już „Stalowego”, który widocznie był wezwany przez „Lisę”. Jego oddział kwaterował gdzieś dalej.

- No, oddajcie pieniądze - powiedział „Lis”.

- Zaraz, zaraz - odpowiedział „Stalowy” - oddajcie to nie tak, bo mój oddział nie będzie żył powietrzem, a ja kraść nie będę. Muszę ludzi utrzymać. A to co się należało, to część zdałem „Dunajewskiemu”. - Tak, że „Stalowy” nie był taki strachliwy. Postawił się „Lisowi”.

„Stalowy” podlegał mi tylko na okres, gdy był tu przydzielony do mnie. Potem odszedł i do widzenia. Był całkowicie podporządkowany „Buremu”. Właściwie, to mógł nie wykonać mojego rozkazu, ale wszystko wykonywał. Nie miałem mu nic do zarzucenia. Miałem z nim święty spokój. W zasadzie na moim terenie to on był mało. Wskakiwał przecież na Suwałki, na inne powiaty. Przez te całe moje bytność, nie wiem czy on był na moim powiecie przez całe dwa tygodnie. Nie mógł przecież z takim oddałem usiedzieć na miejscu, bo go od razu by dupnęli.

Któregoś razu, gdy jechałem z grupą „Tura” do Targoń od strony Wnorów i przed samymi Targoniami patrzmy, cholera, w wiosce jest jakiś ruch. Momentalnie rozbiegli się w tyralierkę. Woźnica od razu dał w lewo i na las. Zaczęli do nas strzelać a myśmy zdążyli waść do lasu. I tak sobie pomyślałem, że wtedy to mógł być „Stalowy”, ale chyba jednak nie, bo to byli durnie, bo gdyby sobie posiedzieli cicho, my byśmy wjechali do środka i wzięliby nas za dupy. Gdyby to był „Stalowy”, to by siedział cicho. UB też chyba by nie było takie durne, żeby przedwcześnie wyskakiwać, tylko przeczailoby się, aż sami pięknie, ładnie wjechalibyśmy im w same łapy.

Ze „Stalowym” to jeden jedyny raz sprzeczkę miałem o tę raketę. Potem już chyba w miesiącu lutym on zrobił pociąg na Czerwonym Borze. Było powiedziane, że zabrał pieniądze, które wieźli na wypłatę dla robotników z Białegostoku. No i że on te pieniądze niby roztrwonil, bo miał narzeczoną w jakiejś wsi. To nieprawda, to jest oszczerstwo, bo wiem że część tych pieniędzy zabrała Komenda Okręgu a rodzinom trzech żołnierzy: „Orla”, chyba „Wrony” i jeszcze kogoś dał zapomogi//, a resztę zatrzymał na utrzymanie oddziału. Tak, że złego słowa nie mogę na niego powiedzieć. Nie wiem kiedy to się działo, te zarzuty wobec niego, ale to nie było za moich czasów. Jestem zdumiony tym, że został zastrzelony (jak teraz się dowiaduję) z wyroku „Lisy”. On, faktycznie, był krnąbrny, ale trzeba go było krótko za mordę trzymać. Z miejsca trzeba było na niego wskoczyć:

- Baczność! W tył zwrot! Marsz! - o i wtedy był spokojny. Jeden z jego żołnierzy został ranny w pierś w czasie akcji pod Łapami.

W końcu „Lis” powiedział do mnie:

- Zabieramy panu jego („Stalowego”). Już jest pan wolny od niego... .

To „Bury” go („Stalowego”) tak rozpuścił. Jeszcze jak byłem komendantem powiatu to „Bury” spalił te białoruskie wioski za to, że go synęli do UB, ale nigdy na ten temat z „Lisem” nie rozmawiałem. Uważam, że było to niepotrzebne. Tak robili Niemcy, ale Polacy nie powinni tak robić. Wtedy tak uważałem i dziś tak uważam. Takie jest moje zdanie, że jak chcę kogoś winić, to muszę go mieć przed sobą, muszę z nim rozmawiać i muszę mu udowodnić, że faktycznie jest tak a nie inaczej. Moim zdaniem nie wolno stosować zbiorowej odpowiedzialności. Dlaczego ktoś niewinny ma ponosić odpowiedzialność.

A „Rekin” to był taki bardzo solidny gość. Jak mówili ludzie, to na Prusach jak sowiéci nadchodzili, to przestrelili mu głowę jak golił się. I tam na Prusach ich rozbili. To oni właśnie mi opowiadali:

- Ooo, bracie, „Bury”, leje i pali, leje i pali.

„Bury” nie podlegał „Lisowi”, tylko przechodził przez te tereny. Czy „Lis” kiedy kazał pójść na południe? Nigdy. Albo czy „Lis” kazał mu iść na Prusy. Skąd. Każdy oddział poruszał się w tym kierunku, gdzie czuł się bezpiecznie, by zmylić ślady. Na Prusy to musiał iść, bo tu sytuacja była bardzo napięta, nawet na Ostrów Mazowiecką, gdzie komendantem został Kotowski, nie mógł iść, bo tam też było napięcie. Więc jak mógł na tym terenie utrzymać się. Ale nie wszędzie było tak źle, no.: Targonie Wielkie, Zawady Kościelne tam każdy swobodnie poruszał się w biały dzień. Tam ludzie uprzedzali o niebezpieczeństwie. Ile razy Kotowski uciekał z domu, bo już mu dali cynk:

- Uważaj, bo jadą po ciebie. - A on domek miał na uboczu Zawad, bliżej szosy. Oczywiście nie mieszkał tam, ale od czasu

do czasu pojawiał się tam. I to już UB wiedziało. Któregoś razu to ja tam sam o mało nie wpadłem. On już wtedy był mianowany komendantem powiatu Ostrów Mazowiecka. Zaszedłem do wsi koło Zawad, do jego siostry, zapytać o kontakt na niego i patrze, a tu, cholera, ulicą ciągnie kolumna samochodów. No to ja pomaleńku, pomaleńku wyszedłem i poszedłem do Zawad. No i okazało się, że to na Kotowskiego tak polowali. Myślę, że siostra Kotowskiego to jeszcze żyje//. Wtedy była przecież młoda dziewczyną, miała może 18 lat. Oni mieli tam taką gospodarkę maleńką, chyba z 5 czy 6 ha.

Targonie położone były w dole, z jednej strony był las, szosa była oddalona jakieś 5 km, w prostej linii zaraz była Narew, to razie czego można było wycofać się za rzekę. Łódki zabrało się ze sobą i weź teraz przejdź. A Narew nie jest wążutka.

Albo takie Gąsowo, tam gdzie Gąsowski mieszkał. Też można tam było bezpiecznie poruszać się. Również w tych wioskach koło Zambrowa: Cieciorki, Konopki było tak samo. Wnory były spalone przez Niemców, naród tam był przetrzebiony, więc był spójny, pewny. Natomiast gorzej było w zambrowskiem. W samym Zambrowie to było tak jak tutaj: wstanie się o piątą rano to już stoją przed bramami i szukają wina. Tak było. I to młodzież po dwadzieścia parę lat. Chłopy jak dęby. Zbierali się w grupki, patrzyli gdzie bogatszy gospodarz i szli rabować. Tam to było źle. To albo tego..., albo w dupę się lało ile wzięło.

W terenie czułem się pewnie dlatego, że byłem człowiekiem bezdomnym, nie miałem stałego miejsca zamieszkania. Ludzie odnosili się do nas bardzo przychylnie, nawet przychylniej jak do tego WiN-u. bo w tamtym terenie więcej jest narodowców. Często zdarzało się, że ludzie narzekali na winowców, że przychodzą, że zabierają, że zdraycy, że to, że tamto, ale w wielu wypadkach trzeba było te zale puszczać mimo uszu, bo często była to po prostu zawiść sąsiedzka.

Ja też stale przenosiłem się z miejsca na miejsce. W jednej wsi dwa-trzy dni i potem do drugiej. Najchętniej jednak przebywałem w Zawadach u wójta Borowskiego//. To był bardzo solidny gość. Źle było też w Zambrowie.

Cały czas chodziłem w cywilu. Jedyna broń jaką miałem, to była „Tetka”. Chodziłem bez papierów. Dostałem je dopiero jak wyjechałem do Torunia. To było ryzyko, bo gdybym natknął się na patrol MO, to otworzylibyśmy ogień. Wydawało mi się, że tak jest pewniej. Któregoś razu, jesienią, gdzieś za Wnorami, złapaliśmy jednego co udawał wariata. To „Czuma” go zauważył. Zabieniony (biedny?), brudny, gryzł słomę. Od razu wydał się nam podejrzany:

- Co z tobą? Co się stało? Dlaczego gryziesz słomę?

- Koń gryzie, a ja nie mogę? - odpowiedział.

- Weźcie go umyć - rozkazałem.

- Oooo - podniósł krzyk.

- To go do piwnicy wsadźcie - powiedziałem.

Wsadzili go w pinicę, nie dostał żadnej słomy i nic. Jak mu później dali w kość to wszystko wyśpiewał. I żadne papiery mu nie pomogli.

Kompanijnych magazynów broni na terenie powiatów nie było. Każdy miał swoją zamelinowaną. Sam też nie miałem magazynu, o którym nikt by nie wiedział. Sam takiego nie przejąłem i nie tworzyłem.

„Burego” poznałem wtedy, gdy przechodzili przez wieś Wrony, w której kwaterowałem. Nie, nie rozmawiałem z nim, ale wiedziałem, że to szef PAS-u Okręgu. Natomiast kilkarotnie spotkałem „Rekina”, z którym rozmawiałem. Spotykaliśmy się w Zawadach, w Targoniach zachodził do mnie na kwaterę. To był bardzo fajny chłopak. Brunet. No co tam mógł opowiadać? O walkach z Sowietami, no a wileńskie to ja znam, bo jeszcze przed wojną będąc w Związku Osadników Kresowych tośmy całe wakacje jeździli po tych okolicach, całe wakacje mieliśmy wędrownie obozy.

Wtedy, jak spotkaliśmy się we Wronach to szli na południe. Trudno powiedzieć ilu ich było, bo to szło w rozsypce, tyralierą, ale przypuszczam, że przeszło 100 osób było. Oni nigdy nie szli razem. Jedni szli przez wieś, inni obok, ale zachowywali łączność. dzięki temu, jeśli byli zaatakowani w jednym miejscu, to zaraz ci z końca otaczali atakujących, którzy przez to znajdowali się w kotle. Właśnie na Prusach wpadli, bo na kwaterach Sowietci ich zaskoczyli. Straszne straty tam ponieśli. Słyszałem tylko, że pod Kuleszkami Kościelnymi to na stronę „Rekina” przeszedł cały szwadron kawalerii.

Gdy byłem komendantem powiatu, to nie przypominam sobie, żebym coś słyszał o wypadkach pijaństwa na moim terenie. Może wieś piła, ale gdzie wchodziłem z moim towarzystwem to tam tego nie było. „Stalowego” pijanego też nie spotkałem, chociaż widziałem go tylko kilka razy, bo przecież on wędrował nie tylko po moim powiecie, ale nawet i w Suwałkach, dlatego nie mogli go zniszczyć, bo był nieuchwytny.

Nie przypominam sobie takiego wypadku, żebym w rozkazie wymieniał imię i nazwisko żołnierza, o którego zwolnienie z oddziału prosiłem „Stalowego”. Przecież taki rozkaz mógł wpaść, ładnie więc bym wyglądał, gdybym wymienił nazwisko i imię. Jeżeli ten rozkaz jest podpisany moim pseudonimem, którego pierwsza litera Z napisana jest po polsku, to nie jest to mój podpis, bo zawsze pisałem po rosyjsku. Może to „Tytan” podpisał ten rozkaz w moim imieniu, bo wszystko szło przez „Tytana”. Poza tym nie wydawałem żadnych rozkazów pisanych ręcznie, wszystko co ode mnie wychodziło pisane było na maszynie.

Jedną z pierwszych akcji, które pamiętam było uspokojenie posterunku MO w Zawadach. Dawał się nam we znaki, miał długi język a przede wszystkim wtrącał się wójtowi do wszystkiego. I w końcu córka wójta, narzeczona Kotowskiego ps. „Kłós”, poskarżyła się nam. Więc któregoś razu pan komendant dostał w pewną część ciała pewną ilość gum i zagrożono mu, że jeżeli to się powtórzy to będzie publicznie wisiał na rynku przed kościołem w Zawadach. No i faktycznie, nie było już z nim kłopotów. Później w Kuleszkach Kościelnych mieliśmy podobny wypadek. Tym razem ich prawa ręka w tyłek dostał. Nasi powiedzieli,

wskazali i przyszedł pięknie, ładnie. On zawsze był najmądrzejszy we wsi ale miał za długi język, tak że mu przepomniałem. Z nim to była kpina, bo go wyprowadzili, pociągnęli go trochę i puścili:

- No jak, będziesz? - a on już przysięga na kolanach, że nigdy więcej.

- No pamiętaj, bo my tu przyjdziem. - Część ludzi biorących udział w tej akcji to była od mojego kochanego „Stalowego”, a część z mojej obstawy, z grupy „Tura”. Było też kilka rozbrojeń posterunków, ale to przeważnie „Gryf” sam, najpierw Kobylinie, potem w Tykocinie. To były jego strony, on tu znał wszystkich.

Nie, nie dysponowałem wtyczkami w UB, bo za krótko byłem komendantem. Byłem nim przecież tylko trzy miesiące: styczeń, luty, marzec. Żeby nawiązać pewne kontakty, to trzeba przynajmniej pół roku, wtedy można dojść tam i tam.

Nie, nie miałem do czynienia z „Błaskiem” i braćmi Kopczewskimi z Tykocina.

Nie nie miałem tu żadnej sympatii, bo człowiek w takiej sytuacji jak moja, gdy jest sam, nie ma rodziny, to cały czas myśli, że wróci do tej rodziny. Zresztą, to nie były moje strony rodzinne. To też gra bardzo dużo. Gdyby mnie pozwolili nawet dziś iść na Wołyń, to na klęczkach by tam poszedł.

W marcu od „Sterny”, który studiował prawo w Toruniu na UMK otrzymałem list, z którego dowiedziałem się, że znalazł moją ciotkę, która mieszka w Toruniu. Ona miała dwóch synów//. A w szkole podchorążych w Toruniu wykładowcą był mój wujek. Mieszkał na ul. Targowej 39 m. 60. No i „Sterna” dowiedział się, że tam jest ciotka z synami. Jak Niemcy wkroczyli na tamte tereny, to wuja z rodziną wyrzucili w lubelskie, na Zamojszczyznę. Potem Sowieci aresztowali wujka i wywieźli do Rosji i wrócił do domu dopiero w 1947 r., a ciotka z dziećmi wróciła do Torunia.

Gdy otrzymałem ten list od „Sterny” to wtedy od razu poszedłem do „Lis”, powiedziałem, że taka i taka rzecz, pojedę, dowiem się,

- Za miesiąc wrócę.

- No to jedź - powiedział „Lis”. Wtedy też, w marcu, ostatni raz widziałem „Lis”.

- Pamiętaj, żebyś mi wrócił - dodał na pożegnanie.

Obowiązki po mnie przejął mój zastępca „Dunin”.

Przed wyjazdem sołtys Targoń Targoński wyrobił mi lewe papiery przez wójta Zawad Kościelnych na nazwisko Zygmunt Maciejewski ur. 1912 r. zam. Targonie. Broń zostawiłem. No i w końcu marca wyjechałem do Torunia przez Olsztyn razem ze „Sterną”, który miał studenckie papiery. Do pociągu wsiedliśmy na stacji w Zawadach. Nie wiedzieliśmy wtedy, że właśnie aresztowano „Lis”. Nikt nic nam nie powiedział.

W Olsztynie zatrzymaliśmy się na jakiś czas u znajomych „Sterny”, podpisał tam i dopiero w maju byłem w Toruniu.

Ja jak w 1939 r. wyjechałem z domu, to już więcej rodziców nie widziałem. Chciałem jak najprędzej coś się dowiedzieć, bo przecież słyszałem o tym jak Ukraińcy mordowali ojca i brata.

No i jak zjechałem do Torunia, do ciotki, to ciotka powiedziała:

- Twoja mama żyje jest z córką. Jest w Łodzi. Ojca i brata zamordowali Ukraińcy. - Okazało się, że brat Edmund w 1939 r. należał do ZWZ. Aresztowali go tydzień czy dwa po ślubie w 1940 r. Ożenił się z siostrą mojej żony, dostał 10 lat//. A jego całą rodzinę zaraz zgarnęli i na Kazachstan. Moja żona pracowała tam w kopalni złota. 6 lat do 1946 r. kiedy to wróciła do kraju. Później jak Niemcy uderzyli w 1941 r., to brat był w więzieniu i wywieźli go, razem ze wszystkimi więźniami, w głąb Rosji. I na moście na Dnieprze go zabil. Jak spotkałem takiego Nejmana z Łucka, który był wtedy tej kolumnie więźniów i widział to, to potwierdził mi, że tak było//. Ciotka powiedziała mi, że mama przekonana była, że zginąłem we wrześniu 1939 r. na froncie, gdy w pobliżu mnie wybuchł pocisk artyleryjski. Ktoś podobno widział jak rozerwało mnie i przysypało ziemią i powiedział potem to mamie. Pobylem więc kilka dni u ciotki, żeby w tym czasie pojechała do mojej matki i przygotowała ją na wiadomość, że ja żyję.

- Ja byłem cholera w Łodzi, żeby bym był po południu to bym znalazł na stacji od razu po sąsiadkach, bo pracowała w bufecie na dworcu Kaliskim, tyle, że tego dnia dyżur miała po południu. - No i przyjechałem do matki. Spotkaliśmy się w Zgierzu na stacji. Sama była. Siostrę zostawiłem małą dziewczynką, a teraz to była już panna. Przywitaliśmy się. zachodzę do domu, a tam ruina. Najpierw więc musiałem mamę ulokować. Mieli pokój z kuchnią, musiałem wyremontować go, zrobić wszystko.

No i wtedy napisałem list do „Sterny”, bo prosił mnie o to. Mówił: napisz - bo później powiedz, że ja ciebie wywozłem i oddałem UB, a Moraczewski rzeczywiście napisał list do „Sterny” pytając się co się stało ze mną, bo nie ma ode mnie żadnej wiadomości, czy on („Sterna”) przypadkiem nie oddał mnie w ręce UB. Napisałem więc do Moraczewskiego ps. „Wacek”, który był dowódcą 6 kompanii („Sterna” mieszkał w tej samej wsi co i Moraczewski, a stamtąd było tylko 6-7 km do Targoń, gdzie kwaterę miał „Lis”), że nie bądź głupi i nie pisz takich listów, bo ja do ciebie nie piszę, bo list idąc do ciebie z Łodzi ktoś by skontrolował.

Napisałem też list do „Lis”, prosiłem go w nim żeby przedłużył mi urlop, bo matka z siostrą znajdują się w bardzo ciężkiej sytuacji, bo ojca i brata zamordowali Ukraińcy, muszę im pomóc doprowadzić mieszkanie do porządku i że jak tylko będę wolny zaraz wracam. I „Lis” zgodził się. Napisał, że bym po unormowaniu swoich spraw wracał. W czerwcowym referendum nie brałem udziału.

Po sąsiedzku było wolne mieszkanie. Jakiś miesiąc po moim przyjeździe do Torunia zjawiła się ze swoją rodziną (ona, siostra

- wdowa po moim bracie, matka i ojciec) moja przyszła żona, która zamieszkała w tym mieszkaniu. Przyjechała do mojej matki, bo знаła ją. I dopiero tu poznałem żonę. Przed wojną nie znałem jej.

Wreszcie gdy doprowadziłem wszystko do porządku, przygotowałem się do powrotu do Białegostoku. Nadal widziałem sens naszej walki. Nie liczyłem na trzecią wojnę, ale miałem nadzieję, że naród się obudzi. Wiedziałem, że my z Kresów jesteśmy przywiązani do polskości. Dla nas pieniąż nie grał roli. Najważniejsza zawsze była Ojczyzna. Dla mnie nigdy w całym życiu pieniąż nie grał roli.

Miałem wyjechać 15 lipca a 13 lipca około 5 po południu zjawili się u mnie dwóch ludzi w cywilu. Mamy w tym czasie nie było w domu, bo pojechała do miasta.

- Czy tu mieszka pan Paciejewski?

- Tak, a o co panu chodzi?

- A my szukamy Zygmunta.

- To jestem ja? O co panu chodzi?

- Mamy tu do pana list.

- Od kogo?

- A to pan zobaczy? - i daje mi list od mego dowódcy kompanii „Wacka”. Charakter pisma „Wacka” bardzo dobrze znałem, więc nie miałem wątpliwości, że to on pisał. A nie wiedziałem, że on w tym czasie był już aresztowany (wiem, że jeszcze żyje). W liście „Wacek” pisał: Kochany Zygmuncie przysyłam do ciebie dwóch bardzo dobrych kolegów z naszej organizacji są spaleni, musieli wiać, więc bądź łaskaw i gdzieś ich ulokuj”.

- Może panowie chcą herbatki wypić, albo coś tego...? - spytałem ich gdy przeczytałem list.

- Nie, nie proszę pana, lepiej będzie jak my nie będziemy u pana się pokazywać.

- No to chodźcie, zaprowadzę was do sąsiada. - A miałem troszkę niedobrze, bo obok mnie był sąsiad, który był majorem UB. Pomyślałem więc, że zaprowadzę jednego do ciotki, drugiego do innego sąsiada.

Żeby, cholera, nie było jego pisma, to nie pomógłbym im, ale tak... . Tylko wyszliśmy za bramę, a ci za pistolety... .

- Co jest? - zdziwiłem się się.

- Zapomnieliście? Białostockie, nie byliście komendantem powiatu?

- Czy żarty, czy co?

- No to się zaraz dowiemy - Pojechaliśmy na Zamenhoffa. Jeszcze próbowałem, że to może chodzi o kogoś innego o podobnym lub tym samym nazwisku, ale nie chcieli tego słuchać. Zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju. Przesłuchiwał mnie późniejszy gen. Komar, kawał skurwysyna. Trudno to nawet nazwać przesłuchaniem.

- To ten z eneszetu? - spytał Komar moich konwojentów i od razu rzucił się do mnie nie pytając nawet o nazwisko. Od razu skopał mnie ile wlazło.

- Ty eneszetowska mordo ty - wyzywał i nic nie pytał tylko kopał. A ja od razu żądałem konfrontacji z Moraczewskim.

- Dajcie mnie na oczy jego - Myślałem, że on zaprzeczy, a ta cholera od razu... . Jeszcze jeden taki mnie okładał. Mieli po 19-20 lat. Zaraz po moim aresztowaniu dostali poruczników. Jeszcze teraz chętnie bym ich odszukał i odpowiednio z nimi porozmawiał. Najwyżej jeszcze poszedłbym siedzieć na kilka lat.

Z Łodzi zawieźli mnie do Warszawy, tam przenocowaliśmy i 15-go rano pojechaliśmy do Białegostoku. Tych dwóch dni na sprawie już nie zaliczono mi do wyroku.

Po przyjechaniu do Białegostoku od razu zaprowadzili mnie na przesłuchanie i przyprowadzają tego Muraczewskiego. Był w więziennym ubraniu, wyglądał normalnie.

- Ten? - spytał go śledczy. Muraczewski popatrzył na mnie i skinął głową:

- Ten. - No to co ja dalej będę kręcił. A ja wtedy miałem buty z cholewami i jeden but był przestrelony. Ubek popatrzył na mnie od góry do dołu, spojrzął na but i wykrzyknął zadowolony:

- Aha, mamy cie. Co, pod Jedwabnem żeście rozbili naszych. To ich buciki?!

- Nic o tym nie wiem - odpowiedziałem.

- A skąd wy to macie?!

- Przecież wiecie, że przyjechałem z Rosji. To mnie tam je dali.

- A kto wam dał?!

- A mundurowy, był taki. Dał mi to całe ubranie i to mam.

- To wyście nie brali w tym udziału!? To kiedy to było?

- Przecież ja w tym czasie to byłem w Rosji, co wy nie wiecie? - A ja te ubranie to dostałem od „Lisa”, te ubranie i buty.

Co dziwne - w czasie śledztwa ani w więzieniu nic o „Lisa” mnie nie pytali, zresztą w ogóle nie pamiętam tego co jest w moim protokole przesłuchania w aktach sprawy „Lisa”. To musi być sfałszowane. Przecież nieprawdą jest, że np. jeszcze w marcu 1946 r. wyjeżdżałem dwukrotnie do Warszawy i wracałem w teren. To wszystko jest zmyślane, co w tym protokole. Tylko ciągnęli mnie:

- Dawaj członków, dawaj członków. - Więc mówiłem:

- No to macie: „Sroka”, „Wrona”, „Tygrys”, „Lew”.

- Nazwiska!!!

- Ale ja nie znam, możecie mnie zabić, ale ja nie znam - no to tłukli mnie, tłukli - ale ja przecież z ręką na sercu nie znałem nazwisk.

Myślę, że tylko przez jakiś tydzień w czasie śledztwa na wojewódzkim UB nie bito mnie, a tak to cały czas niemal codziennie. Później to już tak przyzwyczaiłem się do tej młócki, że jak był dzień bez młócki, to dziwnie się czułem. Nie bito mnie tylko wtedy, gdy kazano mi siadać na nogę odwróconego do góry stołka. Wszystkie zęby mi wybili, płuco mi odbili. W biciu mnie brali udział ci co aresztowali mnie, to byli najgorsze skurwysyny. Jeden chudy, szczupły, wzrostu co ja, okrągła twarz. Potem dochodził jeszcze taki trzeci, wysoki, barczysty. Nazwisk ich niestety nie znam. Do ust wsadzali mi jakąś rurę i coś, cholera, leli: ropa nie ropa, czort wie co. Nos zatykali i leli to. Strasznie się dusilem. W końcu z tego wszystkiego to krew dosłownie buchała ze mnie. Jak przestali mi łać to, to wtedy zaczęli sadzać mnie na ten stołek, cholera. Potem skuli mi ręce pod nogami i pod kolanami przeciągnęli kijek i w pięty, i w pięty. A niech to cholera weźmie. Nie wiem czy Niemcy tak katowali. Tylko prądu brakowało. Żebym ja tego skurwysyna złapał, to poszedłbym siedzieć jeszcze 10 lat, ale bym go zatłukł na miejscu. Nie wiem jak ja to wszystko wytrzymałem przez tyle czasu. Chyba najczęściej byłem nieprzytomny.

Ze mną siedział taki piekarz z Białegostoku. Miał anginę pectoris. Biedny chłop się męczył. Jak przynosili mnie ze śledztwa, to on stał przy oknie i pytał się:

- Żyjesz jeszcze?

- Żyję.

- Ja to już nie wytrzymam. - Nie wiem co się z nim stało, bo go zabrali.

Wzięli takiego chłopka z Zalesia, wioska ta leży pomiędzy Targoniami a Zawadami. Pamiętam byłem u niego któregoś razu. Trzymał liski dzikie. Przeprowadzili go do więzienia na konfrontację ze mną. I ten dureń mówi, pokazując na mnie:

- Ooo, tego to ja znam. - Wtedy kpt. Faber//, Żyd, którego tego dnia widziałem po raz pierwszy, rzucił się do mnie:

- Jak to, ty draniu, to on ciebie zna a ty go nie znasz?!

- Ja go nie znam - odpowiedziałem spokojnie. - Ich było dużo, to mnie mogli znać, a ja byłem jeden i nie znałem nikogo. - Wtedy Faber kijem wyrznął mnie w twarz raz, drugi i powiedział:

- To teraz ty poznasz.

- Co ty skurwysynu, znasz mnie jak ja ciebie nie znam? - zwróciłem się do tego chłopaka a potem do Fabera:

- Ja go nie znam, On mnie poznał, no i dobrze. Czego chcecie? Skąd ja mogę wiedzieć kto to. Było ich dużo, więc wszystkich miałem znać? - Och, jak strasznie mnie katował ten skurwysyn. Okładał mnie grubym kijem gdzie popadło, po całym ciele, w pięty. Oczywiście nie był sam. Rzucili mnie na podłogę, stanęło na mnie dwóch a trzeci łał. Faber też. żydziucha jeden. Uciekł do Palestyny zdaje się. Żebym ja go spotkał skurwysyna. A to było złe, bo było powiedziane w czasie okupacji: niszczyć Żydów, skurwysynów, więc trzeba było ich bić. Po wojnie tego jednak, niestety, nie było. Tylko w Kielcach zrobili im „uczte”. I to mieli rację. My jednak, mówię to z ręką na sercu, żadnego Żyda w czasie okupacji niemieckiej, żeśmy nie stuknęli. Zresztą nie mieliśmy z nimi kontaktów. Nie było rozkazu, żeby ich likwidować, były tylko rozkazy, żeby tępić konfidentów NKWD. Konfidentów Gestapo było tylko trzech, jeśli sobie dobrze przypominam, a tak reszta to byli z NKWD.

Jak przez mgłę pamiętam takiego jednego, jak siedzi przy stoliku, w okularach, blondyn, dość tęgi i mówi do mnie:

- Kolego, przyznajcie się, po co was mają katować, powiedzcie, to wam krzywdy nie zrobio.

W końcu któregoś wieczora zawieźli mnie do więzienia. Od razu ogolili, bo miałem dużą brodę.

- O! Jak ty ładnie wyglądasz, zobacz jak ty teraz wyglądasz pięknie - naigrywał się Faber. Dostałem moje, czyste, ubranie, krawat i za dwa dni - 22 listopada - zawieźli do sądu.

Śledztwo trwało od 15 lipca do 20 listopada. Cały czas siedziałem w jednej celi razem z tym piekarzem. Później, jak go zabrali to siedziałem już sam. Ze śledztwa to oni mnie ściągali z góry do celi za ręce. Przez te dwa dni od zakończenia śledztwa do rozprawy to w celi miałem jeszcze 6 kapusi. W końcu to już doszli do tego, że nie wiedzieli co ja na prawdę zrobiłem, bo tego znasz? - znam, tam byłeś? - byłem, tam biłeś? - biłem, mordowałeś? - mordowałem, tak pamiętam, byłem tam - przyznawałem się do czego tylko chcieli. Wszystkim mówiłem. I te kapusie potem powiedzieli im, że on nic nie wie, bo wszystko kłamię, bo mówi to co chesz.

22 listopada wzięli mnie już na sąd. Na sprawie dali mnie tego Moraczewskiego, który zeznał, że ja byłem komendantem powiatu, że organizowałem to. Ja nie zaprzeczałem temu, bo to i tak nie miało sensu. Gdy skończył, spytali mnie się:

- Czy pan to potwierdza?

- Tak, potwierdzam.

Nie przypominam sobie, żebym miał jakiegoś adwokata jak to jest napisane w wyroku. Nikt mnie tam nie bronił. A jeśli był, to w każdym bądź razie nie mówił w mojej sprawie. Więcej pytał Moraczewskiego jak mnie. Sądził mnie Popowski. Przyznawałem się tylko do tego co zeznawał Popowski i więcej do niczego nie przyznałem się.

Nie przypominam sobie, żeby w nocy w więzieniu zdarzały się przypadki bicia więźniów.

Sami oddziałowi to byli Białorusini. To też, cholera, paskudny naród. Jak w ubikacji się było, to ten kto był z NSZ-tu to rękami gówno musiał zbierać i rzucać (do ubikacji). Ja też tak musiałem. A taki cham stał i śmiał się. Był tak hrabia spod Osowca.

Oj, to gnębili go jak tylko mogli, ale on się tym nie przejmował. I tak w więzieniu to już był raj w porównaniu z UB. Przynajmniej nie tłukli. Niektórzy dostawali paczki. Poczęstowali i jakoś się żyło. Klawisze jakoś nie okradali nas. Co nie to nie.

Chyba w grudniu 1946 r. zakuli mnie w kajdany i wywieźli do Rawicza. Żołnierze (z konwoju) śpiewali: „...bo sztandar nasz jest czerwony jak robotnicza krew”. W Rawiczu na stacji pokuli nam nogi (ręce były cały czas skute) i na piechotę do więzienia: tup, tup, tup. Zupełnie tak jak na Sybir. Na czerwony pawilon trzeba było po schodach wejść na półpiętro. U drzwi stał sznur klawiszy, którzy leli nas gdzie popadło.

Wyszedł do nas naczelnik:

- Stąd nie wyjdziecie. Nogami do przodu każdy z was wyjdzie - powiedział i dodał: jak się da. - Długo tym naczelnikiem nie był, bo niedługo potem go zmienili.

W Rawiczu jak się odezwał ktoś do kalifaktora, to z miejsca szedł do karca na 48 godzin. Tak, że było wiadomo, że jak taki odezwał się do więźnia, to już wiadomo było, że to kpauś, tak że lepiej było nie odzywać się do niego, bo to mógł być kapuś. Przecież na tych funkcyjnych stanowiskach to wszystko byli kapusie. Poza tym, o czym tu było z takim rozmawiać? Tam nas właśnie najgorzej prześladowano.

- Wy sukinsyny - mówili - NZW, NSZ to wyście się nie ujawnili, wy dranie, wy. - Był tam taki Kukawka, którego nazywaliśmy Kawka//, to szczególnie on mówił:

- Ty draniu, chodź no ty z NSZ-tu chodź do karca. - Och, to był drań. Któregoś razu przyniósł fotografii i pyta się:

- A tego to ty znasz?

- Tak jak i pana znam.

- Zaraz ty go poznasz. Bierz koc - i posadził mnie do karca na 48 godzin. Tam był znany taki Jasio Czernicki, to ja z nim na zmianę do tego karca chodziłem//. To on, to ja, to on, to ja. On był z organizacji ale z poznańskiego. AK.

Ja już pracowałem wtedy w introligatorni. Tam była jedna cela, ale było do cholery tych kapusi. Łóżka były piętrowe, więc włożył taki sukinsyn pod łóżko i słuchał co kto rozmawia na górze. Był taki jeden z Częstochowy. Pederasta skurwysyn. Potem jeden mi opowiadał, że zabili go w kamieniołomach, w czasie transportu.

Naczelnika, który przyjmował nas do więzienia szybko zmienili. Na jego miejsce przyszedł złoty chłop. Jedzenie od razu się poprawiło. Wcześniej to dawali do jedzenia zgniłą kapustę, a później to były już kluseczki na wodzie i zawsze w niedzielę drobione mięso z kartoflami. Było cudownie. Później jak już pracowałem, to naczelnik przychodził, porozmawiał:

- Za co siedzicie? - pytał

- No trudno, odsiedzicie i wyjdziecie. Pamiętajcie, żebyście nie wracali - dodawał troskliwie. Bardzo porządny z niego był człowiek.

Był tam jeden taki strażnik. Co to był za człowiek. Ostrzegał wszystkich, listy nosił ludziom i w końcu kapusie skurwysyny wydali go, to 3 lata siedział.

Tu, w Rawiczu, jak byłem na drukarni, to ze mną był jeden z kapusi, którzy byli ze mną w celi w więzieniu w Białymstoku tuż przed sprawą. Taki z Białegostoku skurwysyn, ze wsi chłopak młody. Miał wysypkę, to mył się uryną, bo myślał że mu to zejdzie. Jak się mył któregoś razu, to mówię do niego:

- Ty cholero, to ty ze mną w celi siedziałeś, i wypytywałeś się, to ty taki?

- A mnie kazali - odpowiedział z rozbrajającą głupotą.

Pod koniec to wprowadzili w więzieniu taki zwyczaj, że na drzwiach każdej celi było wypisane kto z jakiej organizacji tu siedzi. Tak że wszędzie były nazwy: NZW, WIN, NOW, NSZ, AL, GL, BCH, KWP wszystko było cholera. No i w każdej celi był kapuś. W Rawiczu na pojedynce w „białym” pawilonie, sam, siedziałem pół roku. I tam, w połowie 1947 r., dostałem żółtaczkę. Wzięli mnie do szpitalika więziennego, zacząłem dostawać zastrzyki (tam był taki pierwszorzędny lekarz, który postawił mnie na nogi) i po tym wszystkim wzięli mnie do pracy w drukarni i przenieśli z pojedynki na ogólną. Niestety, w drukarni nie dawałem sobie rady, więc przenieśli mnie, na piętro, do introligatorni, bo zawsze w życiorysie pisałem, że znam się na tym. I tu robiłem aż do samego końca. Tydzień przed wyjściem zabrali mnie do celi na „czerwony” pawilon i stąd wyszedłem na wolność. Niektórzy to byli tacy dumnie, że myśleli że jak pójda do kamieniołomów w Strzelcach Opolskich, to tam będzie im łatwiej uciekać stamtąd. A tam było ciężiej i niebezpieczniej jak gdziekolwiek.

W tym Rawiczu to normalnie dostawałem fisia. Np. dostawałem paczki, miałem więc cukier. No i jak okno było zakratowane, to tam była taka zasłona. To tam, za te zasłonę, sypałem cukier i tam przylatywały pszczoły. Jak pszczoła wleciała, to tak było mnie dobrze, lata, bzyka, to miałem towarzystwo. Ile ja wtedy sam z sobą rozmawiałem. Cały dzień nie wolno było leżeć, strażnik cały czas zaglądał przez wizjer, trzeba więc było chodzić. Nawet i siedzieć nie mogłem dobrze, bo zaraz walił w drzwi celi:

- Cooo, juuuż, zmęczyłeś się? - krzyczał. Mimo to jednak każdy próbował choć na trochę usiąść. Patrzyło się tylko na wizjer i jak zauważyło się, że wizjer się otwiera, to wstawało się. Zakrył się, to znowu się siadało.

W niewielkiej celi było nas 12-tu, to ściśnięci byliśmy jak śledzie w becce, a do tego jeszcze w kącie sracz. W czasie snu, to na komendę obracaliśmy się na prawy albo lewy bok.

Jak z izolatki zabrali mnie na cele ogólna, to przez dobry tydzień po prostu „dziki” byłem, zawsze byłem wystraszony - tak mi potem opowiadano.

Jak byłem w więzieniu, to była jakaś pożyczka narodowa. Akurat wtedy mój wujek z Torunia, który wrócił do kraju w 1947 r. przysłał mi 1 000 zł na wypiskę, to 500 zł. zabrali mi na te obligacje pożyczki. Na dowód tego dali mi taki świstek. Więc nawet w więzieniu zabierali nam pieniądze. Powiedziałem więc zirytowany do tego Kawki:

- Panie, przecież, cholera, jestem więzień, jakim prawem... ?

- A co, wam się nie podoba? - i zaraz poszedłem na 48 godzin do karca. A to była cela, w której musiałem się schylać, bo była dużo niższa ode mnie. Prycza była jakieś nieco ponad pół metra nad ziemią, a wody w celi było prawie po kolana. Do karcera wpuszczali tylko w majtkach i koszuli, dawali też koc, ubranie zabierano. Żadnego kubła do załatwiania potrzeb fizjologicznych nie było, do tego celu służyła zalana wodą i nieczystościami podłoga. Okno było u góry w postaci niewielkiej szparki, dzięki czemu w celi było prawie ciemno. Jeść nie dawano. Prawdopodobnie obok, w niektórych celach, rozwalano więźniów.

Nie przypominam sobie, żeby w nocy w więzieniu zdarzały się pobicia więźniów.

Wyszedłem na wolność 15 lipca 1951 r., bo w 1947 r. zastosowali mi amnestię, dzięki czemu wyrok zmniejszono o połowę. Od razu musiałem zameldować się na milicji. Przez pierwszy miesiąc musiałem meldować się codziennie, później raz na tydzień, aż wreszcie dali spokój.

Jak wyszedłem z kryminału, to nigdzie pracy nie mogłem znaleźć. Gdzie tylko poszedłem, to mówili:

- Ależ proszę bardzo, wolne miejsce jest, pisze pan podanie. Jak tylko dureń napisałem, że siedziałem, już pracy nie ma.

- Oj jaka szkoda, godzinę przed wami ktoś już zajął tę posadę - mówili w kadrach. To koledzy mówili mi już, żeby pójść do pierwszego sekretarza, ale powiedziałem:

- Nie, cholera, nigdy. - Przypadkiem jednak spotkałem kolegę. Jechałem któregoś razu tramwajem i patrzę, jakaś znajoma gęba, i on mi się przygląda.

- Kostek Brzosko?

- Tak, Kostek. - A ja razem z nim byłem przed wojną w Warszawie, w bursie Związku Osadników. On był Sybirak z tych dzieci, co ich rodzice za cara zostali wywiezieni na Syberię a później przez Japonię i Amerykę przyjechali do Polski.

- Co ty robisz? - spytałem.

- Mieszkam w Zgierzu, jestem dyrektorem do spraw spółdzielczości. A co ty robisz?

- Widzisz, wyszedłem dopiero z kryminału.

- Poczekaj, ja ci znajdę pracę. - I rzeczywiście, za dwa dni spotkaliśmy się znowu i mówi mi:

- Mam dla ciebie robotę w Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług w Zgierzu. - No i tam poszedłem i 10 lat tam pracowałem. Naturalnie zarabiałem grosze, ale zawsze już coś było.

Po wyjściu z więzienia jeszcze przez 5 lat pozbawiony byłem praw publicznych i obywatelskich, gdy więc były wybory w 1956 r. to pewien byłem, że nie mogę głosować, a tu sekretarz partii przyjechał do mnie i mówi;

- No, chodźcie na głosowanie.

- Wyście zapomnieli obywatelu, że ja jestem pozbawiony przez 5 lat praw obywatelskich.

- A coo tam - odparł lekceważąco - Co tego patrzycie, chodźcie tu i głosowałem 3 razy tak, żeby był sejm.

Później, jak poznali się na mnie, że jestem fachowiec, że znam się na wszystkim, więc zabrali mnie do Zgierzeckiego Przedsiębiorstwa na kierownika sprzętu i transportu. To jak w Zrzeszeniu miałem 600 parę złotych, to tam miałem już 2 tysiące, ooo to ja już byłem dobry. Tam pracowałem od 1964 r. Po roku pracowałem z żoną dyrektora Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Transportowego Budownictwa województwa łódzkiego w Łodzi, a moja żona pracowała w Teatrze Wielkim jako śpiewaczka. No i ten dyrektor załatwił nam mieszkanie w Łodzi i dojeżdżałem autem do pracy w Zgierzu. Dostałem też podwyżkę do 3 tys. Wtedy to był pieniądź. W 1980 r. przeszedłem na emeryturę. Początkowo proponowali mi zapisanie się do partii. Któregoś razu sekretarz partii w moim zakładzie przyszedł do mnie i mówi:

- Kolego Paciejewski, wy macie uznanie, nie pijecie wódki. My tam nie patrzymy na przeszłość waszą, zapiszcie się do partii.

- Dobrze, kiedy - odpowiedziałem.

- Teraz się zapiszcie.

- Nieee, wiecie co, później może, za 5-6 lat, to może ja się wpiszę, ja wpierw muszę nabrać przekonania, bo tak od razu to ja nie mogę. Ja mam pamiętne przekonanie z Rawicza. - Powiedziałem to i zostawili mnie w spokoju. Tak, że do żadnej partii nigdy nie należałem.

10 lat po wyjściu z więzienia napisałem do prokuratora o skreślenie z listy skazanych.

. Po ucieczce z Niemiec ukrywałem się we wsi Cieciorki u Pęckiego.

. Byli w nim m.in.: „Rola”, „Jastrząb” Daniszewski.

. Wyszomirski „Biały”.

. Konopka - sołtys

. Jan Sinicki, ten co zginął, zostawił żonę i dwoje dzieci. Był w oddziale NOW Wacława Kalki ps. „Zagłoba” (pochodził z poznańskiego)

- . „Słoń”
- . Jan Sinicki - był młody i należał do organizacji. NOW
- . Przędzieckiego ps. „Wiesław”.
- . „Rola”
- . „Sęp”, który poległ [wymowa niewyraźna może „Szary”?
- . „Dziadek”
- . kpt. „Biały”
- . nazwisko jednego z aresztowanych - nazywał się Melasa.
- . Burzyński, z PKP w Białymstoku.
- . Marchewka
- . Kopka
- . do Zawad Kościelnych. Tam znałem wójta Kotowskiego. Jego syn Adam był komendantem powiatu Ostrów Mazowiecka.

- . „Lis” Lewicki.
- . Edka Płońskiego
- . „Kmicic” Babiński.
- . „Dunina” Gąsowskiego Adolfa.
- . Żwański miał córkę Hanię,
- . zamieszkałem w Targoniach Wielkich u Targońskiego Jana
- . „Tur”. Pochodził z Warszawy
- . „Żbik”, „Gryf”, „Kania” i chyba „Niedźwiedź”.
- . „Tytan”
- . „Czuma”
- . Kotowski ps. „Kłos”.
- . „Jadwiga”.
- . „Maćka” Werpachowskiego z Krajewa Białego.
- . „Norwida” - d-cę V kompanii, „Burzę” Jamiolkowskiego, który kulał trochę. Z „Jawem”, dowódca batalionu,
- . „Wybicki”.
- . „Stalowy”.
- . „Orła”, chyba „Wrony”
- . siostra Kotowskiego to jeszcze żyje.
- . Najchętniej jednak przebywałem w Zawadach u wójta Borowskiego
- . „Sterny”.
- . brat Edmund w 1939 r. należał do ZWZ. Aresztowali go, dostał 10 lat
- . Nejmana z Łucka, który był wtedy tej kolumnie więźniów
- . kpt. Faber,
- . Kukawka, którego nazywaliśmy Kawka,
- . Jasio Czernicki